

KAROLINA GRODZISKA

## SZWAJCARSKIE STYPENDIUM MICHALINY GREKOWICZ-HAUSNEROWEJ

Michalina Grekowicz-Hausnerowa to jedna z zapomnianych postaci lwowskiego środowiska literacko-dziennikarskiego. Urodzona w 1891 r. w Buczaczu, była córką tamtejszego inżyniera powiatowego, Józefa Grekowicza, i jego żony Kamilli z Wasylewskich<sup>1</sup>. Na ukształtowanie jej osobowości ogromny wpływ wywarł ojciec, dowódca oddziału w powstaniu styczniowym, kierujący niefortunną wyprawą z Krakowa na teren zaboru rosyjskiego, kiedy to mimo sukcesu w potyczce pod Szklarami oddział, przezeń dowodzony, poszedł w rozsypkę i wycofał się za kordon. Przywrócenie ojcu dobrego imienia stało się jednym z życiowych celów Michaliny.

Absolwentka Seminarium Nauczycielskiego Zofii Strzałkowskiej we Lwowie, nie miała do zawodu pedagogicznego najmniejszego zamiłowania. Śladem kuzyna, Stanisława Wasylewskiego (1885–1953), publicysty i znanego później pisarza, oraz starszej siostry, Marii (1889–1939), Michalina trafia do – dziennikarstwa. Od ok. 1917 r. pracuje w „Gazecie Porannej” i „Wieczornej”, następnie w „Gazecie Lwowskiej” (1921–1922), „Kurierze Lwowskim” (1922–1927) i „Dzienniku Lwowskim”, później zaś zatrudniona jest w Magistracie Miasta Lwowa jako referent Miejskiego Komitetu Zimowej Pomocy Bezrobotnym. Udziela się w Syndykacie Dziennikarzy Polskich we Lwowie, Towarzystwie Dziennikarzy Polskich i Związku Literatów Polskich<sup>2</sup>.

Podczas II wojny Michalina i jej mąż Franciszek Hausner szczęśliwie unikają losu dziesiątek tysięcy Polaków, wywiezionych do Kazachstanu i na Syberię. Los ten spotyka jednak szwagra Michaliny, znanego polityka Artura Hausnera (1869–1941) i jej siostrzenicę Ludmiłę Hausnerówną<sup>3</sup>. Wiadomo, że Michalina w tym cza-

---

<sup>1</sup> J. Reychman, *Grekowicz Józef Adam*, Polski Słownik Biograficzny (dalej: PSB), t. 8, Wrocław–Kraków–Warszawa 1959, s. 573.

<sup>2</sup> Życiorys Michaliny opracowano na podstawie tekstu jej „Wspomnień”, życiorysu złożonego przez nią w Materiałach PSB oraz teczki personalnej w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Krakowie. Za pomoc w kwerendzie serdecznie dziękuję Pani Aleksandrze Boss-Kołaczk.

<sup>3</sup> H. Wereszycki, *Hausner Artur Walenty*, PSB, t. 9, s. 314–315.

sie nie współpracuje z żadną gazetą, na życie zarabia pracując w wytwórni drewnianych zabawek oraz jako maszynistka w prywatnej polskiej firmie. W 1946 r., podejmują decyzję o ekspatriacji ze Lwowa. Przygarnie ich wówczas – Szczecin, gdzie Michalina wraca do dziennikarstwa, pracując równocześnie w Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej. Pisuje do „Kuriera Szczecińskiego”, „Szczecina”, „Ilustrowanego Kuriera Polskiego” i „Tygodnika Powszechnego”. Po śmierci męża i najmłodszej siostry, w 1954 r. Michalina przenosi się do Krakowa, gdzie podejmuje pracę w Miejskiej Bibliotece Publicznej<sup>4</sup>. Nadal pisze – w tym biogramy do PSB i do „Słownika publicystów i dziennikarzy polskich”. Podejmuje też prace nad historią własnej rodziny, to zbeletryzowany życiorys Józefa Grekowicza „Oczami córki” oraz – wspomnienia własne. Wiosną 1967 r. spotyka ją zasłużona przyjemność: jubileusz 50-lecia jej pracy dziennikarskiej, urządzony przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich<sup>5</sup>.

Zmarła jesienią 1967 r., pochowana została na nowym Cmentarzu Podgórskim. Jej spuścizna rękopiśmienna trafiła przede wszystkim do Biblioteki Jagiellońskiej, jednak do ówczesnej Biblioteki PAN w Krakowie w 1973 i 1976 r. trafiły, zakupione poprzez Antykwariat Domu Książki, dwa najważniejsze maszynopisy: „Wspomnienia” Michaliny (obecnie rękopis 7918) oraz tekst o Józefie Grekowiczu „Oczami córki” (rkps 8954). Żaden z nich nie był dotąd publikowany. W czerwcu 2015 r. na posiedzeniu II Wydziału PAU przedstawiłam zarówno sylwetkę Michaliny Grekowicz-Hausnerowej, jak i zamiar edycji jej wspomnień. Projekt został przyjęty przez Wydział, a edycja włączona do planu wydawniczego PAU.

W planowanej edycji tekstu, dotyczącego przede wszystkim lwowskiego okresu życia dziennikarki (tematy związane z II wojną i swoimi powojennymi latami porusza ona jedynie w postaci drobnych uwag, np. domykających życiorysy szeregu osób) należało jednak dokonać pewnych skrótów. Przede wszystkim tok narracji rozbijał obecnie tu prezentowany obszerny opis stypendium w Szwajcarii (s. 240 do 320 maszynopisu), umieszczony w tekście chronologicznie, a odbijający od lwowskich wątków i stanowiący zamkniętą całość. Z perspektywy czasu można powiedzieć, że była to podróż życia 36-letniej wówczas dziennikarki: nie miała już podobnej okazji ani w latach 30. ani – tym bardziej – w czasach PRL-u.

Otrzymanie stypendium było wówczas raczej ewenementem. Sama Michalina pisze:

Na okres pracy w „Dzienniku” przypadło wielkie wydarzenie w moim życiu: podróż za granicę, do Szwajcarii i Paryża. Ministerstwo Kultury i Sztuki ufundowało stypendia dla dziennikarzy celem pogłębienia ich wiedzy zawodowej przez wyjazd do kraju, jaki stypendysta sam mógł wybrać wraz z określeniem tematu studiów. Każdorazowe stypendium wynosiło 2500 złotych i bywało przydzielane za pośrednictwem Syndykatów Dziennikarzy w różnych miastach Polski. Syndykaty przedkładały listę

<sup>4</sup> Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Krakowie,teczka personalna Michaliny Grekowicz-Hausnerowej.

<sup>5</sup> „Kronika Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w Krakowie”, 1967, opis uroczystości wraz z wycinkami prasowymi i fotografiami. Za informację o tym źródle serdecznie dziękuję Panu Andrzejowi Stawiarskiemu.

kandydatów, a Ministerstwo wybierało po jednym z każdego miasta i to nie co roku. Wspomniana suma nie wystarczała oczywiście na dłuższy pobyt za granicą i odbycie jakichś regularnych studiów teoretycznych, zwłaszcza, że stypendysta musiał sam opłacić środki komunikacyjne. Umożliwiła tylko wyjazd na kilka tygodni do któregoś z krajów Europy i praktyczne obserwacje tamtejszego życia oraz napisanie szeregu reportaży na dany temat.

Pierwszym stypendystą lwowskim był Janusz Laskownicki, współpracownik „Wieku Nowego”, syn prezesa Syndykatu Dziennikarzy Lwowskich. Wyjechał do Paryża i dzięki pomocy finansowej swego ojca mógł spędzić w nim kilka miesięcy.

Ja – druga z kolei – wybrałam jako cel podróży Szwajcarię, a jako przedmiot badań opiekę społeczną. „Dziennik Lwowski” był dopiero w stadium organizacji, gdy spadła na mnie ta rewelacyjna nowina. Nie wyjechałam jednak natychmiast, odkładając podróż do lata. Podjęłam przysłane pieniądze i złożyłam w Banku Hipotecznym. Odbyło się to w sposób trochę komiczny.

Kwota 2.500 złotych była na owe czasy dość znacznym kapitałem. Trzy złote mogły wystarczyć jednej osobie na całodzienne utrzymanie. Pobierałam wtedy 400 złotych miesięcznie, co stanowiło uposażenie wcale wysokie, najwyższe, jakiego dorobiłam się w przedwojennym dziennikarstwie [...]

Wyjechałam w czerwcu 1927 r. zawadzwszy najpierw o Warszawę, by przedstawić się w Ministerstwie i odebrać potrzebne zlecenie. Przyjął mnie dyrektor departamentu Jan Skotnicki, z zawodu artysta-malarz, który mi powiedział:

- Otrzymała pani stypendium, ponieważ jest pani pierwszą kobietą, która się o nie podała<sup>6</sup>.

Na czas wyjazdu autorka otrzymała dwumiesięczny urlop: miesiąc płatny, miesiąc bezpłatny. Oczywiście była zobowiązana do dostarczania zagranicznych korespondencji. W drugiej pracy – była bowiem także korespondentką „Kurierza Porannego” w Warszawie – zastąpił ją na ten czas kolega, Józef Bratkowski.

Podróż rozpoczęła się od Pragi i krótkiego tam pobytu, następnie zaś wybrana trasa prowadziła przez Bazyleę, Genewę, Chamonix, Vevey, Montreux, Chillon, Lucernę, Jezioro Czterech Kantonów, Berno, Zurich i Rapperswil. Ze Szwajcarii autorka pojechała na tydzień do Paryża, skąd jednak nie pisała dokładnej relacji. Sporo miejsca w opisie podróży zajmują instytucje charytatywne, domy opieki, sanatoria i sierocińce – zgodnie z przyjętymi wcześniej założeniami oraz obowiązkami służbowymi autorki we Lwowie. Przez cały czas Michalina Grekowicz-Hausnerowa przysyła teksty do prasy krajowej, w tym dla „Świata Kobięcego”. To między innymi korespondencja: *Szkola nauk kobiecych dla kobiet w Genewie; Z helweckiej ziemi – tradycje ludu szwajcarskiego; W ojczyźnie Pestalozziego; Z ziemi szwajcarskiej do Polski – z powodu przeniesienia zbiorów rapperswilskich; Szwajcaria a dzieci, W międzynarodowym biurze pracy; U kolebki Szwajcarii; Twarze i dusze miast szwajcarskich*<sup>7</sup>. Wiele tych wątków, a nawet niektóre tytuły pojawiają się w jej „Dzienniku”.

To podróż samotna, nie ma w niej relacji ze spotkań towarzyskich czy kontaktów z rodakami. Próba zwiedzenia Muzeum Rapperswilskiego w chwili jego przenosin spaliła na panewce, kustosz nie był przychylny ani szczególnie pomocny. Autorka nie powieli bedekerowych opisów zwiedzanych okolic i zabytków, koncentruje się raczej na próbie uchwycenia piękna i ducha zwiedzanego kraju; kraju,

<sup>6</sup> Biblioteka Naukowa PAU i PAN w Krakowie, rkps 7918, k. 159–161.

<sup>7</sup> Biblioteka Jagiellońska, rkps 14/68, zawierający zbiór wycinków prasowych z artykułami Michaliny Grekowicz-Hausnerowej.

który zachwycił ją zarówno krajobrazem, jak i stopniem rozwoju, czystością, ła-dem, przewidywalnością i dostatkiem, niewyobrażalnymi chwilami dla mieszkanki Polski – od niedawna dopiero niepodległej, borykającej się zarówno z biedą, jak i niełatwym porozbiorowym dziedzictwem.

W bogactwie kontaktów polsko-szwajcarskich, w które wpisują się wielkie nazwiska: Tadeusza Kościuszki, Juliusza Słowackiego, Henryka Sienkiewicza czy Stefana Żeromskiego, warto przypomnieć także i tę, pełną zachwyty relację, napisaną przez – może chwilami naiwną, choć ogromnie wrażliwą – dziennikarką ze Lwowa.

## OWOCE PODRÓŻY

Zdawałoby się, że stypendysta, który wyjechał za granicę celem kształcenia się za państwowe pieniądze i przejechał się tylko po obcych krajach dla zbierania luźnych spostrzeżeń, a nie odbył konkretnych studiów w jakiejś uczelni – nie spełnił swego zadania. Stypendysta każdego innego zawodu – tak, ale nie dziennikarz, dla którego większe znaczenie ma własna obserwacja życia, niż wiadomości teoretyczne.

W moim wypadku – jednorazowe stypendium nie wystarczyłoby na dłuższy pobyt i studiowanie systematyczne w jakimkolwiek kraju – chyba na wysłuchiwanie kilkutygodniowego kursu, co dałoby mi niewiele, a pozbawiłoby mnie czasu na samodzielne badanie.

Wybór pory, wyjazd na czas wakacji, najmiłszy na błogie rozkoszowanie się przyrodą kraju gór i jezior, był niezbyt korzystny. W życiu społecznym i intelektualnym okres to jałowy. Ale przedmiotem moich studiów była opieka społeczna, a ta nigdy nie ustaje. Zwiedzałam więc domy opieki nad dziećmi, kalekami, starcami, żłobki, „krople mleka”, zakłady poprawcze, przeprowadzałam wywiady z przedstawicielami władz, pedagogami, lekarzami. Informacji udzielano mi ze skwapliwą uprzejmością, wskazywano zakłady godne zobaczenia, ułatwiano mi wycieczki do nich.

W Genewie dyrektor Wydziału miejskiego opieki społecznej pożyczył mi nawet z własnej inicjatywy olbrzymie, dwutomowe dzieło zbiorowe w języku francuskim: *La Suisse économique et sociale*<sup>8</sup>, nie pytając mnie o nazwisko i adres, nie żądając żadnego rewersu, nie określając terminu zwrotu. Przeczytać je w całości w krótkim czasie było niemożliwością, a nawet nie wydawało mi się potrzebne. Zaznajomiłam się ze wstępem, dyspozycją rozdziałów, przeczytałam niektóre ustępy bardziej interesujące i zakończenie, i skorzystałam niemało. Po dwóch tygodniach przypomniałam sobie, że należy książki zwrócić i przerzuciwszy je raz jeszcze, wybrałam się do magistratu.

– O, jak dobrze, że pani przyszła – zawołał uprzejmie mój „wierzyciel” – właśnie jutro wyjeżdżam na urlop.

<sup>8</sup> *La Suisse économique et sociale*, dzieło wydane w 1926–1927 r. przez Établissement Benziger.

A nic mi przedtem nie powiedział! Miałabym kłopot, gdybym się spóźniła o jeden dzień – nie znalazłabym także jego nazwiska... Byłam dumna z zaufania, jakim mnie obdarzył.

Wybierając za cel podróży Szwajcarię, miałam zadanie ułatwione. Wojaż po tym spokojnym kulturalnym kraju to jazda wprost królewska. Wszystko nastawione jest na przyjęcie turystów, informacja łatwa i pewna na każdym kroku, komunikacja niezawodna. Wsiąklszy w to ustabilizowane życie, pozbyłam się wnet nerwowego pospiechu, obawy o moją sakiewkę i walizkę, jakie nam zwykle towarzyszą w podróży, przestałam bać się złodziei, włamywaczy oszustów, chuliganów, rozmaitych natrętów.

Może byłam jeszcze za mało rutynowaną dziennikarką, by głębiej wnikać w badane sprawy, umieć szukać problemów, zagadnień nierozwiązanych. Na problemy w ogóle nie natrafiałam, nie narzucały mi się zagadki, więc cieszyłam się, że wszystko idzie tak gładko, chwaliłam w czambuł, pisałam, że wszystko „cacy, cacy”. Wyczuwałam jednak jakiś zastój, który czynił wrażenie stojącej wody. Podświadomie brakowało mi spraw ze znakiem zapytania, nie narzucały się one nigdzie.

Przez cały mój dwumiesięczny pobyt w Szwajcarii, w różnych miastach i kantonach, nie zdarzyło się coś, co mogłoby zakłócić spokojny rytm życia, nigdzie nie widziałam tłoczącego się tłumu, ani nawet pospolitej awantury, nie spotykałam ludzi w łachmanach, włóczęgów, pijaków, w wywiadach nie wspomniano o trudnych do rozstrzygnięcia zagadnieniach, nie natrafiałam na skargi, na krytykę czegokolwiek w rozmowach, na ulicy, w prasie. Niezawodnie jednak muszą istnieć problemy, taracia, trudności, które pojawiają się wszędzie, gdzie żyją ludzie, ale tam są one chyba łatwiejsze do rozwiązania, niż gdzie indziej, a to z różnych powodów.

Kraj to wszakże bardzo mały, a jeszcze podzielony na 25 kantonów<sup>9</sup>, czyli 25 oddzielnych republik, z których każda ma całkowitą swobodę rządzenia się. W państwie trzech narodowości nie ma więc konfliktów narodowościowych. Kraj to bogaty, a zatem kwestia pieniężna prawie nie przedstawia znaku zapytania.

I jeszcze – mimo pewnych zasad demokratycznych, postępowych urzędzeń, tolerancji – kraj to dziwnie konserwatywny, co może idzie w parze z bogactwem. Wystarczy przypomnieć, że Szwajcaria dotychczas nie dała kobietom prawa wyborczego, a dzieje się to zapewne nie z powodu ich niewolnictwa, traktowania kobiet za istoty niższego rzędu, ale wskutek zakorzenionego konserwatyzmu, po prostu... z przyzwyczajenia<sup>10</sup>. Kraj to zasiedziały burżujów, którzy obawiają się jakiegokolwiek zmiany.

Przypuszczam też, że jeżeli istnieją tam zgrzyty, niedociągnięcia, problemy, to Szwajcar, zawsze układny, spokojny, taktowny, opanowany, nie zdradza ich przed obcymi, tak samo, jak nie zwierza się przygodnym znajomym ze swoich spraw oso-

<sup>9</sup> Obecnie Szwajcaria dzieli się na 26 kantonów (20 kantonów i 6 półkantonów). W 1978 r. powstał nowy francuskojęzyczny i katolicki kanton Jura, oddzielony od niemieckojęzycznego i protestanckiego kantonu Berno.

<sup>10</sup> Szwajcarki uzyskały prawa wyborcze do władz federalnych i prawo udziału w referendum federalnych w 1971 r., za wyjątkiem kantonu Appenzell Interrhoden, gdzie podjęto tę decyzję w 1990 r.

bistych, co u nas bywa tak częstym wypadkiem, nawet przyzwyczajeniem niektórych ludzi. Trzeba by tam siedzieć latami, by wnikać w sprawy zatajone.

Dla mnie taki stan rzeczy był bardzo wygodny. Już sama podróż, trudności w samodzielnym docieraniu do najważniejszych punktów, borykanie się z poznawanym materiałem, obcym językiem, nieznanym strojem, szukanie tematów do artykułów, stanowiły dla młodej dziennikarki dość twarde orzechy do zgryzienia. Skoro go rozgryzłam – wszystko wydawało mi się rozwiązane, tylko pisać! Nie zdawałam sobie sprawy, że czasem odpowiedź nie jest konieczna, można pytanie zawiesić w powietrzu...

Korzyści z podróży odniosłam jednak duże, zawdzięczam jej znaczne wzbogacenie mojego stanu posiadania duchowego. Z groźnego majestatu górskich kolosów, ze słodkiego błękitu jezior, ze strzelistych katedr gotyckich spłynęły na moją duszę nieogarnione strumienie piękna, które pobudza i ożywia wszystkie władze intelektu i uczucia.

Podjęte zadanie, o którym na każdym kroku musiałam pamiętać, zaostriło mój zmysł obserwacji; konieczność polegania na sobie samej wzmogła moją odwagę cywilną i samodzielność, nauczyła mnie szybkiej decyzji, w każdej sytuacji decyzji z namysłem. Może i coś z systematyczności i opanowania Szwajcarów pozostało w mojej podświadomej istocie [...] <sup>11</sup>.

Po powrocie do kraju powiadano mi, że pióro moje wiele zyskało na tym wojażu. Oraz, że nauczyłam się rzeczy trudnej – opanowania się.

## U SĄSIADÓW

Moja podróż za granicę zaczęła się od Pragi. Przyjęłam za zasadę w każdym wielkim mieście zwracać się przede wszystkim do kolegów po fachu, u nich czerpać informacje, szukać pomocy w kłopotach, korzystać, jeśli się uda, z ich towarzysztwa w pierwszych wycieczkach poznawczych. Ukułam sobie slogan na wzór hasła socjalistycznego: „Dziennikarze wszystkich krajów łączcie się!” <sup>12</sup>. Stawał mi on zawsze w pamięci, gdy czułam się bezradna na obczyźnie – i nigdy się nie zawiodłam. Dziennikarz wszystko wie, wszędzie trafi i zawsze pomoże...

Zanim jednak trafiłam do kolegów, musiałam trochę sama pobłądzić po Pradze. Szczęściem miałam już adres hotelu „Beranek”, który otrzymałam w pociągu od Czecha, przypadkowego towarzysza podróży. Był to wielki gmach z szyldem w postaci białego barana, z doskonałą restauracją na miejscu i dogodnie urządzonymi pokojami.

Pierwsza przechadzka ulicami obcego miasta przypomina samotne błądzenie po nieznanym lesie, ma urok odkrywania nowych dróg, dopóki się żadnej specjalnie nie

<sup>11</sup> Opuszczono fragment dotyczący późniejszego pobytu autorki w Paryżu.

<sup>12</sup> Trawestacja końcowego zdania *Manifestu Komunistycznego* Marksa i Engelsa z 1848 r. W czasach PRL wezwanie do „proletariuszy wszystkich krajów” stanowiło winiętę szeregu gazet, m.in. „Trybuna Ludu”.

szuka. Stolica Czechosłowacji nie nastęrcza pod tym względem turyście groźnych niebezpieczeństw. Dzięki położeniu Pragi wśród pagórków, przedzieleniu miasta krętym pasem Wełtawy na dwie części i licznym monumentalnym budowlom, które każą się pamiętać – orientacja jest tu dziwnie łatwa.

W pierwszej wędrowce po starym mieście „gdzie oczy poniosą” przede wszystkim zwabił mnie ratusz, który pamięta wiek XIV i chlubi się tarczą średniowiecznego zegara oraz poruszającymi się figurami dwunastu apostołów. Umieszczone obok tablice głoszą, że w ścianę gmachu wmurowano garść skrwawionej ziemi spod Verdun i Zborowa.

Pod historycznymi sklepieniami spotykam orszak weselny z białą oblubienicą w welonie upiętym na krótkich włosach, uśmiechającą się do młodego małżonka, poślubionego według nowego, cywilnego prawa. Na fundamentach zapomnianej przeszłości rozsiadło się bujne życie nowoczesne, nie tyle zgiełkliwe i błyskotliwe, co w innych stolicach, a więcej wygodne, zdrowe, pogodne, gospodarne.

Mrowisko ludzkie, wsiąkle w niezmierny gąszcz budynków, nie kłębi się, nie spieszy, nie robi piekła wielkomiejskiego. Samochody nie straszą ludzi, nie są śmiertcionym narzędziem, bo więcej powodzenia ma tam jeszcze stary, poczciwy tramwaj. Przynajmniej tak było przed laty czterdziestu – dzisiaj jest pewnie inaczej...

Taniość życia nie skłaniała Czechów, a zwłaszcza Czeszek do szukania zbytecznego komfortu. Nie spotykałam prawie kobiet wystrojonych, a skromne markowanie panującej mody nie wkraczało w dziedzinę anatomii: klasyczne kształty Wenery były nadal obowiązującym wzorem.

Praga zdawała się nie myśleć zbyt wiele o swej królewskiej, rycerskiej przeszłości, ale posiadała świetne urządzenie, pomagające gościowi ją poznać. Dwa razy dziennie w letniej porze objeżdżał miasto okrężny tramwaj, przeznaczony wyłącznie dla turystów, który za cenę 20 koron czeskich (około 5 zł ówczesnych) obwoził wycieczkowiczów po całej Pradze, zatrzymywał się przed najważniejszymi zabytkami, a zawodowy przewodnik oprowadzał gości po zamku, pałacach i kościołach oraz wykladał im dzieje wszystkich pamiątek.

W zamkowym labiryncie na Hradczanach jeden zakątek szczególnie przykuwał uwagę: uliczka dawnych alchemików. W tych domeczkach z krzywymi, czerwonymi dachami mędrce wieków średnich poszukiwali daremnie złota w swych retortach.

Sąsiedztwo nasze o miedzę z bratem Czechem i pobratymstwo krwi idzie w parze z kompletną rozbieżnością usposobień, obyczajów, temperamentów, widoczną już na pierwszy rzut oka w życiu stolic obu narodów. Trzeba przyznać, że porównanie to nie zawsze wypada na naszą korzyść, zwłaszcza tam, gdzie w charakterze czeskim przejawia się wpływ niemieckiej pracowitości i systematyczności. Poza tym ma Czech jakąś swoistą, słowiańską pogodę, jowialną uprzejmość, dobroduszną gościnność, odmienną od warszawskiego, wykwintnego poloru. Objawia wobec obcych – przynajmniej na pozór – więcej serca, wyrozumiałości, a bez porównania mniej nerwowości.

W ogóle w Pradze ludzie nie żyją nerwami, jak my. Przez cały tydzień nie slyszalam ani jednej kłótni w tramwaju, sklepie, na ulicy. Praca zaczyna się o godz. 7.00 rano, a po południu nie można już nic w mieście załatwić. Rzucony tu losiem lwowianin przez dwa lata nie mógł się przyzwyczaić do jedania obiadu o godzinie 12.00, ani odzwyczaić od całowania kobiety w rękę, czego się w Czechosłowacji już przed wojną nie praktykowało – i był w rozpacz, że wieczorem niepodobna się w Pradze po warszawsku zabawić...

A jednak żyła Praga przez kilka dni żywszym tętnem w czasie Olimpiady robotniczej<sup>13</sup>, na którą właśnie trafiłam. Zabarwiło się miasto flagami bialo-czerwono-niebieskimi, wielkie pole stadionu obsypane było dokoła kolorowym makiem tłumu. Sto tysięcy widzów... W strojnej łoży ozdobionej lwem czechosłowackim ukazał się prezydent Masaryk<sup>14</sup>, rzesza powitała go owacyjnie spokojnym, słonecznym hymnem „Kde domow moj”, za którym popłynęła, jak jakaś ponura, rozpaczliwa skarga, narodowa pieśń słowacka. Ławą sunęły na boisko zwarte kolumny ćwiczących – kilka tysięcy ciał w rytmicznym ruchu tworzyło zwarty, zmienny ornament. Robotnicy czechosłowaccy z całego kraju, goście z Niemiec, Austrii, Jugosławii, drużyny amerykańskie. Przez tłum publiczności na ulicy przeciska się ciężki samochód, pełny niebieskich bluz robotniczych, leci z daleka znajoma melodia, kołyszże się czerwony sztandar z białym napisem: Polska.

W imponującej kompozycji ostatniego obrazu igrzysk – alegoria świata i zwycięstwa pracy w wielkich zmaganiach ludzkości. Sunie barwny pochód, jak świetna maskarada: na czele szary tłum robotniczy, ruchami symbolizujący żmudny trud, a dokoła straż nagich żołnierzy pod bronią – oto awangarda kapitału, który stojąc na żółtym szkielecie globusa szczyrzy potworne, uśmiechnięte oblicze. Kroczą sztywni jak mumie urzędnicy w kapeluszach z pióropuszcami, fantastycznie umundurowany sztab oficerów, ciągną słudzy, długi poczet bogaczy, odpoczywających w wózkach, gromada kłownów niesie w lekytkach rude, wystrojone metresy, rój bachantek tańczy wirujący balet.

Rzesza robotnicza zasiada przy warsztatach i wśród dźwięku młotów rozpoczyna hymn pracy. Nagle powiał kapitał ze swej wysokości na kuli ziemskiej czarną chorągwią – wpada kawalkada tajemniczych jeźdźców, torując drogę olbrzymiemu kościotrupowi w krwawym spowiciu na pancernym automobili. Wojna... Popłoch, trwoga, pomieszanie szyków pochodu – w końcu obnażeni strzelcy łączą się z robotnikami i uśmiercają kapitał, a na plac boju wkracza zwycięsko „Praca i Prawda” z napisami na czerwonych tablicach w dwunastu językach, wśród których nie brak i polskiego.

Widowisko odpowiadające ideologii komunistycznej, które mogłoby być z powodzeniem dzisiaj odegrane – znalazło w przedwojennej Czechosłowacji możliwość realizacji i pełne powodzenie. Tłum rozplynał się po skończonym igrzysku.

<sup>13</sup> Mowa o Igrzyskach Robotniczych w Pradze, w których uczestniczył m.in. Janusz Kuciński.

<sup>14</sup> Tomáš Masaryk (1850–1937) czeski mąż stanu, współtwórca niepodległej Czechosłowacji i jej pierwszy prezydent.

Przy limuzynie odjeżdżającego prezydenta Masaryka stłoczyła się cizba ciekawych. Policjant pilnujący porządku nie rozpędzał ich pałką, ale z jowialnym uśmiechem zapytał:

– Masaryka- ste nie widali?

Kilkugodzinną obserwacją spektaklu Olimpiady przyprawiła mnie o silny ból głowy. Położyłam się w hotelu, zażyłam „proszek z kogutkiem”; dopiero około północy zadzwoniłam na kelnera i poprosiłam o kolację. Przyniósł mi okazały kotlet i szklankę „piweczka”, które tak się tu powszechnie zowie, po czym wdał się ze mną w rozmowę.

– Polka- ste, miłostiva pani? – domyślił się.

Miło brzmi ten wyraz, przypominający jakieś zamierzchłe czasy, u nas dawno zatracony. Ale po czesku ma on inne znaczenie. Milost – tłumaczy się słowem „łaska”, a zatem nie „miłościwa”, lecz „łaskawa pani”. A na odwrót „łaska” znaczy miłość. Pewien Polak ośmieszył się w kawiarni szukając pozostawionej laski...

Z Czechami można porozumieć się, mówiąc po polsku i starając się zrozumieć, gdy odpowiadają po czesku. Niektóre jednak wyrazy stawiają nas przed zagadką. Zobaczyłam np. tramwaj z napisem: „obora”. Cóżby to mogło być? Ano po prostu – park. Kolega-dziennikarz opowiadał mi, że po przyjeździe do Pragi miał rozmaite humorystyczne zajścia. Zamówił w restauracji na deser „kulecznik” – i wskazano mu bilard...

## W KRAJU GÓR I JEZIOR

Drgające w pędzie szyby wagonu obmywa nieustannie strumień ulewy; chwilami błyskają za nimi w nagłym olśnieniu nadreńskie winnice na stokach wzgórz. Przez jednostajny łoskot pociągu przedrzeć się usiłuje czasem silniejszy strzał gromu. Tajemnica nieznanego kraju objawiła mi się przy piekielnej muzyce letniej burzy.

Chłód nieprzespanej nocy miesza się z natarcywą gorączką ciekawości podróźnej. Nigdzie tak jak w podróży nie czuje się wyraźniej stawania się mglistego, nieokreślonego jutra, które w naszych oczach wciela się w realne DZIŚ.

Naprzeciw mnie niedbale przerzucona przez ławkę przedziału, próbuje drzemać młoda Szwajcarka. Ciemna szatynka, smukła i szczupła w czarnej sukience – ma jakiś wdzięk specjalny nawet w momencie, kiedy podwija pod siebie znudzone długą niewygoda nóżki. Wreszcie rezygnuje z wypoczynku i zaczyna ze mną rozmowę. Jedzie do domu, do Lozanny po całorocznej nieobecności. Była guwernantką dzieci czeskiego fabrykanta mydeł i wraca na wakacje.

Burza uspokoiła się, już bez blasku błyskawic widnieją kontury nowej dla mnie ziemi. Czarna noc rozplywa się w szarość świtu, a wreszcie w mgławą jasność bezsłonecznego dnia. Pociąg przemyka północną granicą Szwajcarii ku Bazylei. Patrzymy obie na nieprzerwany wyścig widoków, które pędzą ku nam z przestrzeni, pozwalają się ujrzeć i uciekają w galopie.

W tym pierwszym, przelotnym spotkaniu Szwajcarii zdaje mi się śpiewać jakąś wesołą pieśń, melodię pokoju. Nie ma w tych stronach gigantycznych łańcuchów

gór, piękno nie każe się uwielbiać w granitowym majestacie; jest bardziej ludzkie, przystępne, wesołe. Śmieją się domeczki, szkarłatnymi wieńcami róż pnących spowite, śmieją się romantyczne mostki nad urwiskami niegroźnych skał, wioski z ostrymi wieżami kościołów, *chalets* do górskich stoków przytulone, jasnozielone zbocza podmurowanych winnic.

Milczą tylko nieruchome płachty jezior i błękitnawe pagórki na ich brzegach. Zadumę ich przerywa czasem krótki gwizd lokomotywy, gdy pociąg wtacza się w tunel, jak okrzyk dziecka „Juuz” – gdy się bawi w chowanek.

Później, kiedy poznałam bliżej kraj gór, jezior i zegarów, nie zatarło się we mnie to pierwsze wrażenie, odniesione w pociągu. Szwajcaria śpiewa, modli się, pracuje – a nie ma w niej miejsca na smutek i rozpacz. Jej śpiew to nie pieśń tęsknoty, marzenia, namiętności, to śpiewka robotnika przy warsztacie, albo matki u kołyski.

Wysiadłszy, kieruję się instynktownie z dworca prostą, w dół pochyloną ulicą. U końca jej czeka na mnie błękitny cud jeziora.

Genewa jest niebieska i pachnie: to była moja pierwsza, spontaniczna charakterystyka miasta, uspiętego snem gorejącego południa. Błękitna od wód Lemanu, pachnie kwitnącą aleją małych, karłowatych lip, z koroną okrągłą jak parasole.

Nagle Genewa budzi się i staje na równe nogi. Godzina sjeisty skończona. Ulice przypominają tor wyścigów kolarskich. Śpieszą do swych zajęć urzędnicy z tekami, chłopcy z koszami na plecach, dziewczęta z magazynów z pudłami, kwiaciarki, posłańcy, listonosze, kolporterzy gazet – wszyscy na rowerach. Rzecz by można, że są jakąś odmienną rasą ludzi czy ptaków, posiadającą u odnóży specjalny organ do fruwania po ulicach – koła. O ile nie należą do gatunku automobilistów, których jest może jeszcze więcej. Roje brzęczących owadów małych i wielkich, przed którymi przechodzień nie musi uciekać, jak przed dzikimi zwierzętami.

Można mieć złudzenie, że ten lśniący asfalt to posadzka sali balowej, a ta chmura uwijających się kolarzy i samochodów – to tancerze, wykonujący zwinnie i dyskretnie jakiś zawrotny balet. A może są tonami orkiestry, którą dyryguje policjant w niebieskim czuku z białą batutą w dłoni, a z miną co najmniej generała.

Ale przestaje być groźny, kiedy cudzoziemiec go o co zapyta. Bo znana uprzejmość szwajcarska płynie tu strumieniami i można się w niej pławic, jak w słońcu. Wystarczy zapytać o drogę pierwszego lepszego przechodnia, aby upusty tych strumieni otworzyć.

Mieszkałam u mademoiselle Fournier przy rue Saint Ours. Nazwa ulicy nie pochodzi od „świętego niedźwiedzia”, ale od malarza tego nazwiska<sup>15</sup>. Panna Fournier była uosobieniem uprzejmości, porządku, spokoju swego kraju. Siwa już i ze śladami choroby Basedowa na twarzy i szyi, nie miała w sobie ani krzty staropanieńskiej zgrzyźliwości, hysterii czy znudzenia. W czteropokojowym mieszkaniu, którego podnajmowanie stanowiło zapewne główne jej źródło utrzymania, była całkowitą panią i jedyną służącą. Szwajcarzy – to naród hotelarzy, toteż grzeczność i dyskrecja sta-

<sup>15</sup> Jean Pierre Saint-Ours (1752–1809) malarz i rysownik, autor portretów i dzieł historycznych, mieszkaniec Genewy.

nowią ich powszechne cnoty narodowe. Moja gospodyni rozmawiała ze mną nieraz godzinami (z czego ja chętnie korzystałam, jako z bezpłatnych lekcji konwersacji francuskiej), ale nigdy nie zapytała mnie o mój stan cywilny i rodzinny, o moje dochody, ani od kogo odbieram listy. Hotelarstwo jest w Szwajcarii podciągnięte pod kategorię przemysłu i nazywa się osobliwie *L'industrie des étrangers*, która to nazwa w języku polskim brzmiała by dosłownie: „przemysł cudzoziemców”. Zawód ten dał im niezwykłą kulturę obchodzenia się z ludźmi, która nie wyrodziła się bynajmniej w szablon. Jak dom panny Fournier i jej pokoje gościnne nie przypominały niczym „numerów” hotelowych – tak ona sama miała jakiś ciepły, serdeczny bez afektacji sposób traktowania swych lokatorów. Pewnego razu całą noc nie spała, aby mnie w porę obudzić przed wczesną poranną wycieczką. To już nie grzeczność – to poświęcenie! A nawet było niepotrzebne, bo i ja... także nie spałam z oczekiwania.

Zaglądałam czasem szarą godziną do pokoiku mademoiselle Josephine, by pogawędzić. Siadywała na staroświeckiej pluszowej kanapie z szydełkiem w ręku i kłębkim włóczki na kolanach, w otoczeniu starych sztychów, ręcznych robótek i pamiątkowych drobiazgów. W kącie stał ozdobnie toczony kołowrotek z warkoczem lnianej kądzieli.

– Ja nie umiem prząć – powiedziała mi. – Moja matka jeszcze umiała.

Rozmowa zeszała na temat tradycji i obyczajów.

– W dzień wigilii Bożego Narodzenia – opowiadała panna Fournier – jest w mieście u nas bardzo wesoło. Ulice roją się od ludzi przez całą noc. Kawiarnie i restauracje są pełne gości, muzyki, wrzawy.

Opis naszej cichej wigilii w rodzinie bardzo jej się podobał. Słuchała zachwycona, może pierwszy raz słysząc o zwyczajach nieznanego kraju.

– *Ah, c' st joli, très joli...* Ale ja wolę nasze hałaśliwe święta. Nie mam rodziny...

Mówiłyśmy też o świętach narodowych. Dowiedziałam się, że Szwajcarzy mają tylko jedno w roku – pierwszego sierpnia, jako rocznicę wyzwolenia Szwajcarii. Palą się wtedy ognie na górach, biją wszystkie dzwony, miasta błyszczą iluminacją, lud bawi się na festynach i składa ofiary na rzecz chorych, inwalidów i kalek. Ale nie jest to dzień wolny od pracy, obchody odbywają się wieczorem<sup>16</sup>.

W parę tygodni później uczestniczyłam w święcie 1 sierpnia. Istotnie tętno codziennej pracy biło w Genewie bez zmiany. Tylko przepasane szarfami o barwach narodowych, białej i czerwonej, młode panienki sprzedawały przechodniom odznaki – jedwabne wstążeczki z utkaną misternie datą i białym krzyżem w czerwonym polu, godłem szwajcarskiego związku republik. Znak ten nadał ongi Rudolf Habsburski<sup>17</sup> czterem kantonom pierwotnym Szwajcarii za pomoc wojskową, przy-

<sup>16</sup> Święto narodowe Szwajcarii, ustanowione w 1891 r. z okazji 600-lecia utworzenia Konfederacji Szwajcarskiej przez przedstawicieli kantonów Uri, Schwyz i Unterwalden w 1291 r. Uznano je za dzień wolny od pracy w wyniku referendum federalnego z 26 IX 1993 r.

<sup>17</sup> Rudolf I Habsburg (1218–1291) król niemiecki od 1273 r., założyciel dynastii Habsburgów. Co do genezy sztandaru, to faktycznie dopiero w 1840 r. z inicjatywy gen. Guillaume-Henri Du-

słaną mu w nadziei uzyskania żądanych praw. Próba zawiodła, nagroda pozostała martwym symbolem, a dzielni górale z Wilhelmem Tellem<sup>18</sup> na czele wzięli sobie wolność sami. Stało się to w dniu 1 sierpnia 1291 roku.

Dopiero wieczorem czuje się, że jest niezwykle święto. O zmroku dzwony całej Genewy wołają pełnym, zwycięskim chórem. Po wodach Lemanu sunie cudny stateczek, gorejący barwnymi światłami, a nad otchłanią wód strzelają w ciemne niebo różgi fantastycznych rakiet. Na wybrzeżu wśród spacerującego tłumu gra orkiestra. Na ulicach jasno jak w dzień. Niestety szczyty górskie, które wznoszą się w pobliżu Genewy, znajdują się na ziemi francuskiej. Nie widać ognisk na górach – najpiękniejszego znaku wolności Szwajcarii.

*Petit Guide à Geneve* zaleca wśród innych osobliwości miasta zwiedzić muzeum botaniczne w parku Ariana nad brzegiem jeziora. Bogate zbiory... Flora całej kuli ziemskiej ma tu swoich przedstawicieli. Napatrzeć się można orzechów-potworów wielkości ludzkiej głowy, dziwacznych wodorostów morskich, misternych wyrobów z liści, łyka i drzewa, plecionych i rzezanych przez ludy egzotyczne. Krajobrazy z całego świata, alpejskie łąki, azjatyckie stepy, amerykańskie lasy. Na piętrach szafy ze szkieletami roślin wszelakich ziem, na ścianach szaf portrety słynnych botaników owych krajów. Polska? Nie ma osobnej spiżarni dla naszej flory: są uczeni, jest flora trzech państw zaborczych.

Ale, prawda, tak było przed czterdziestu laty – może dziś jest inaczej.

Cisza muzealna, martwy zapach suszonego ziela. Smakowite rzeczy dla specjalisty. Laik łązi zakłopotany tu i tam, wybiera interesujące szczegóły, jak rodzynki z ciasta wiedząc, że tu się botaniki nie nauczy. A za oknami oddycha ogród upałem lipcowego popołudnia i gonia się nad żywymi kwiatami motyle – bez szpilek. Schodzę z tej surowej świątyni wiedzy w zieleń parku botanicznego, gdzie obok naszych dobrych przyjaciół, dębów i lip, rosną fantastyczne palmy, gdzie w pobliżu mizernych trawek naszych łąk usiadła arystokratka – szarotka alpejska i jakieś tajemnicze ziele z Japonii. Można by zapomnieć, w jakim się jest kraju, gdyby nie tabliczki, patyczki, kamyczki, przegródki. Może lepiej porzucić te uwięzione dzieci całego świata, a poszukać tego, co może pokazać Szwajcaria sama, w formie świeżej, nie przystrzyżonej trudem uczonego.

Czym prędzej na dworzec i jazda gdziekolwiek! Najbliższy pociąg do La Plaine: godzina 18.10. Co to takiego La Plaine? Nie ma jej w przewodniku, ani na mapie. Nie szkodzi, tym lepiej nawet! Niechaj będzie La Plaine, kącik na stokach gór u francuskiej granicy, o którym świat nie słyszał i niech pokaże się tak, jak sobie żyje na co dzień.

Wieś, miasteczko, czy jakiś przedpokój wielkiego miasta? Ależ wioszczyzna małeńka, po prostu kilkanaście domków, ale murowanych, schludnych, z czerwonymi dachami. Na gościńcu koło studni pod drzewem igrają smagle, kędzierzawe dzieci

---

foura biały równoramienny krzyż na kwadratowym czerwonym tle uznano za szwajcarski sztandar wojskowy, a w 1889 r. rząd federalny przyjął go za sztandar Konfederacji.

<sup>18</sup> Wilhelm Tell, kusznik, legendarny szwajcarski bohater narodowy, który zabił austriackiego starostę Hermanna Gessler, inicjując w 1307 r. powstanie narodowe.

o pięknych, dużych oczach i śpiewają jakąś francuską piosenkę. Miły Boże, co za gościniec! Oby wszystkie nasze ulice – nie, to za wiele – oby największe nasze ulice miały takie asfalty i były takie czyste!

Ale La Plaine to ostatecznie nie byle co. Produkuje sam luksus: hoduje wino i wyrabia perfumy. W dolinie sterczy komin fabryczny, a cały pagórek pokryty zielenią winogrodu. Ścieżka między dwiema winnicami na stoku prowadzi na szczyt. Jak się mówi po francusku „Szczęść Boże”! Jakiś człowiek w niebieskiej bluzie, zajęty opatrywaniem krzewów, przygląda mi się ciekawie, darząc mnie niespodziewanym ukłonem.

Na lewo, na prawo, dookoła – morze winnej latorośli. Tu właśnie rodzi się to samo wino, od którego za 35 centimów robi się człowiekowi wesoło... Krzewy małe, stożkowate, jak krzaczki fasoli, owinięte na tyczki, liście poplamione niebieską szadzią, cała winnica połyskuje błękitno. Z każdej tyczki zadziera się w górę żółtawy, figlarny wąsik, a niżej pod listkami zwisają drobne jeszcze, zielone gronka. Jaka miła znajomość zawarta na żywo, a nie z suszonego zielnika! Gdyby to można wszystkie lekcje geografii i przyrody przenieść na pola, w góry, w lasy, do ojczyzny każdej rośliny i zwierzęcia...

Naprzeciw winnicy znalazłam jakąś wiejską oberżę. Para gospodarzy nie wiedziała, jak mnie uhonorować. Przyniesiono mi na stoliczek przed dom półmisek nakrajanej szynki, bochenek białego chleba, korniszony, karafkę czerwonego wina, nie licząc przy rachunku ile zjadłam i wypłam. W Genewie jest zwyczajnym śmiertelnikiem nawet wybitny polityk czy pisarz, ale w takiej La Plaine każdy obcy przybysz budzi sensację, a kobieta z cudzoziemskim akcentem, która podróżuje *toute seule* [całkiem sama] – może zaimponować poczciwej oberżystce...

Kiedy w pozłocie dogasającego dnia patrzałam z okna pociągu na łagodny aksamit małych pagórków, oczy moje spotkały się nagle z groźnym, marsowym obliczem białego mocarza. Nie widziałam go dotąd, bo tylko przy wyjątkowej łasce nieba ukazuje się Genewie w tym najpiękniejszym miejscu, które nosi jego imię: Quai du Mont Blanc. Wionął od niego nieopisany chłód powagi, strącając ze mnie doszczętnie złocisty pył rozweselenia, wywołanego tą czarownicą, choć samotną wycieczką. Biały od stóp do głów olbrzym patrzył na mnie błękitnymi oczodołami załamów skalnych spoza oślepiającej bieli śniegowych płaszczyzn, patrzył, jak straszne *memento* wieczności i śmierci.

Nie mogłam spokojnie znieść tego spojrzenia. W jakimś niepojętym, nieznanym mi przedtem porywie uwielbienia i lęku, powstałam nagle odruchowo z miejsca i wpatrywałam się w połamany łańcuch ośnieżonych szczytów. Czułam się mała, pokorna, czułam nieomal, że mnie nie ma wcale, że nic nie ma dokoła, a istnieje naprawdę tylko ta surowa, niezmienna potęga, która nie jest z tego świata. Wokoło kwitną wiosny i dojrzewają jesienie, szaleją wojny, budują i walą się cywilizacje, rodzą się i umierają ludzkie istnienia, pokolenia, narody, szczepy, a on trwa, silny, mroźny, niezmożony, zawsze ten sam. Ilekróć później widziałam Mont Blanc, nie mogłam oprzeć się temu uczuciu.

Zawarłam z nim później znajomość bezpośrednią. Genewa ma wielki kult dla króla Alp, chociaż Szwajcaria nie posiada go na własność. Los obdarzył ją najpiękniejszą partią Alp, ale odmówił jej najwyższego szczytu, o czym często zapominają nawet Francuzi, mający Mont Blanc w granicach swego kraju. U nas także nie wszyscy o tym wiedzą. Oto przykład aktualny, nie sprzed lat czterdziestu: w r. 1966 zauważyłam w *Kalendarzu Przyrodniczym*, wydanym przez Ligę Ochrony Przyrody w dziale pt. „Świat w liczbach”, w rubryce „Najwyższe szczyty” informację: „Europa – Mont Blanc 4810 m. – Alpy – Szwajcaria”. Oburzona taką ignorancją poważnej instytucji, napisałam do redakcji *Kalendarza* grzeczny zresztą list z pochwałą wydawnictwa i wykazaniem pomyłki. Odpowiedzi nie otrzymałam – a *Kalendarz* na rok 1967 zawiera ten sam błąd... Ale to mimochodem.

Ma Genewa wspaniałe wybrzeże Mont Blanc i most na Rodanie tej nazwy i hotel i kawiarnię Mont Blanc. Codziennie wyjeżdża z Genewy autobus wycieczkowy do Chamonix i nie ma zapewne turysty, który by nie pokusił się o wyprawę na lodowiec najwyższego szczytu Alp.

Organizacja każdej wycieczki w Szwajcarii to kwestia tylko wstąpienia do Bureau de renseignements<sup>19</sup>. Wszystko powiedzą najdokładniej, wybiorą odpowiednią godzinę, dadzą bilet na kolej, statek czy autobus i jeszcze zasypią gratisowymi przewodnikami, prospektami, planami, mapami. Wątpliwości nie istnieją.

Towarzystwo w autobusie co się zowie międzynarodowe. Kilka starych Angielek, młody Japończyk, dwie miłe Niemeczki, włoska matrona z portretem Mussoliniego na piersiach...<sup>20</sup> Za granicę wydostajemy się bez trudu, pokazując z daleka różnego koloru paszporty. W ciągu trzech godzin możemy być u stóp białego olbrzyma o ile nie pęknie guma w samochodzie.

A właśnie pękła! Całe grono wycieczkowe włązi bez ceremonii w pole pełne rosy i okupuje łąn francuskiej koniczyzny, aby szukać czterolistnego szczęścia... Różne języki – a ten sam zabobon i ta sama tęsknota wszechludzka. A jednak ten niedościgły miraż zdaje się być bardziej uchwytny w rozkosznej dolinie Arwy, niż gdziekolwiek na ziemi. Te uśmiechnięte, pnące się pod szczyty wioski, te nieznane z nazwy miasteczka zdają się nic innego nie robić, jak cieszyć się swym istnieniem. Muszą być chyba szczęśliwe, bo im słońce i zielona ziemia dają bezwiedny pęd do radości życia, a podniebne skały uczą rezygnacji, jeśli to życie zaczyna ciążyć kamieniem.

Pod białym złomem Mont Blanc siedzi sobie milutkie Chamonix. Nie jakaś wieś pasterska, a wspaniałe europejskie lotnisko, niemal miasto. Bezczelna cywilizacja pcha się śmiało pod sam szczyt i urąga przyrodzie. Bo chociaż przemożny olbrzym grozi śmiałkom strąceniem w skalistą otchłań i rozdeptaniem jak nędznego robaczka, niedostępność jego została przez człowieka pokonana. Na zręby lodowca wejść może lada niedołęga, który zapłaci bilet kolejki zębatej.

<sup>19</sup> Bureau de renseignements (franc.) – Biuro Informacji.

<sup>20</sup> Benito Mussolini (1883–1945) włoski polityk, współtwórca i przywódca włoskiego faszystów. W omawianym czasie miał ustabilizowaną władzę po wyborach z 1924 r., wprowadzeniu w 1925 r. dyktatury faszystowskiej i wyeliminowaniu opozycji.

Tam, gdzie dawniej tylko orły miały prawo wstępu, brzęczą talerze i widelce restauracyjne, bulgocą rozmowy we wszystkich językach świata, plątają się po ziemi papiery i puszki z sardynek. Człowiek zdobywszy Mont Blanc, zbliżył go ku sobie, ale zarazem oszpecił. Na szczęście tylko na tym maleńkim odcinku, którego mógł dosięgnąć. Łoskot kolejki nie zdoła zagłuszyć szumu niezliczonych kaskad spadających ze szczytów, chociaż wydają się nie większe, niż strugi rozlanego mleka. Ludzie na lodowcu wyglądają jak mrówki. I cóż stąd, że myśl i praca ludzka przewierciły na wylot nietknięte dotychczas skały? Nie większy to efekt w stosunku do potęgi przyrody, niż ślad mozołu robaka, gryzącego korę drzewa. Dlaczego technikę mrówek uważamy za jeden z aktów natury, a technikę człowieka za coś odrębnego, nie mającego z nią związku?

Mer de Glace...<sup>21</sup> Szeroka, ponura rzeka lodu, zamrożona w przełęczy między gmachami skalnymi, istotnie ma coś z morskiego ogromu, ciszy i grozy. Gęste załomy i szczyrby wysokości paru metrów przybrały postać morskiej fali. Człowiek staje tu bezradny, swoim niepewnym pozostawiony stopom. A jednak lodowiec nęci. Piękny Francuzik czyha z aparatem fotograficznym na turystki, kusząc je zdjęciem na tle lodowca. Sprytne wyzyskanie próżności ludzkiej...

Ale ja chętniej przyjmuję ofertę starego górala – przewodnika, który podaje mi toporek i skarpetki, wdziewa się je na buciki, aby zapobiec ślizganiu się. Potem brudne i podarte zostawia się je na brzegu lodowca. Stosowne to towarzystwo dla blaszanek po konserwach i strzępów gazet we wszystkich językach.

– Spóźniliśmy się, już nie ma pociągu! – woła za moimi plecami jakiś młodzieniec, zwracając się do młodej pary, schodzącej z lodowca. Polacy! Nie wiedzą, że ich rozumiem.

Autobus stacza się coraz niżej po serpentynie pośród lasów i głazów. W miarę oddalania się biały olbrzym rośnie. Znikło Mer de Glace, znikło Chamonix, a został czysty profil łańcucha, wychylający się zza leśnej zieleni, tak samo jak ongi, kiedy na nim nie było hotelu ani kolejki, wtedy, gdy nie przypominał napoleońskich rysów – i wtedy, kiedy jeszcze nie nazywał się Mont Blanc.

## ŚWIĘTO ZIEMI I SŁOŃCA

Kurant na wieży św. Piotra wyśpiewał wreszcie godzinę czwartą, przez moje okno na rue Saint-Ours wdzierać się począł popielaty świt. Po nocy bezsennej w obawie, aby nie przespać ważnej godziny, gotuję się gorączkowo do wyjazdu, spoglądając z niepokojem na rozkapryszone niebo. Bo za parę godzin mam ujrzeć coś, co traf szczęśliwy w wyjątkowej łasce losu oglądać mi pozwolił, o czym od wielu miesięcy mówi cała Szwajcaria, krzycząc kolorowe afisze, o czym marzono od lat dwudziestu...

<sup>21</sup> Mer de Glace, Morze Lodu, lodowiec na zachodnich stokach masywu Mont Blanc, o długości 15 km, spływający z wysokości 1100 m do doliny Chamonix.

Słynne, tradycyjne, jedyne na świecie Fête des Vignerons<sup>22</sup> w starym miasteczku Vevey nad Lemanem. Świąteczne, ćwierćwiekowe gody, jakie święci cichy kanton Vaud, uprawiający winnice na stokach gór Jura – święto winnic i ich pracowników, święto ziemi, pracy, pieśni i słońca, dawnego obyczaju i kultury ludowej. Odbywa się w ciągu lat stu tylko kilka razy od szeregu wieków, zawsze z równą, nawet coraz większą starannością urządzane i daje za każdym razem w tradycyjnych ramach nowy wykwit życia, pomysłu i temperamentu osobliwego ludu.

Nie teatr, w którym grają tylko aktorzy, i nie zabawa ludowa, pozbawiona twórczej inwencji artysty. Pracownik roli, skromny uprawiacz wina, poeta, muzyk, malarz, polityk wysilają całą swą fantazję, długoletni trud, zbiorową energię i tworzą razem najpiękniejszy obraz, który długo potem żyje w pamięci ludu jako wizja tygodnia uciechy, blasku i tryumfu.

Aby oglądać to nieporównane widowisko zjeżdżają się rodacy i cudzoziemcy z wszystkich zakątków kraju i z całego świata, dzieci wzrastają w tradycji czci i zachwyty dla tego święta, którego początek sięga średniowiecza, starcy ze łzą wzruszenia wspominają swój udział w minionych uroczystościach za młodu i przechowują stare stroje ludowe.

Po nieprzespanej nocy goniałam o świcie na dworzec do specjalnego pociągu z kupionym na kilkanaście dni wcześniej biletem na trybunę. Było daleko, nigdzie taksówki, tramwaje jeszcze nie wyruszyły z remizy. Z nieba lunął rześisty deszcz. Mokra do nitki wcisnęłam się w tłum pasażerów, jadących w tę samą stronę, z taką samą radością, obojętnością na przygody.

Oto słodkie ustronie nad rzeczką Veveyese – ostatnia siedziba Henryka Sienkiewicza<sup>23</sup>. Bardzo stare, było rzymską kolonią za czasów cesarów. W roku 1800 przeszedł przez nie Napoleon Bonaparte i odbył na rynku rewiew swych sześciotysięcznych wojsk przed przeprawą przez St.-Bernard. Na tym samym rynku odbywa się Święto Winogrodników. Do miasteczka napływają nieustannie rzesze ludzi. Uczestnicy widowiska mieszają się z szarym tłumem widzów.

Mam wrażenie, że jestem gościem nie tylko nieznanego miejsca, ale i gościem ubiegłych czasów. Bo ci aktorzy Święta, zalewający miasto – pasterki, żniwiarze, kosiarze, drwale, rybacy, myśliwi, kowale, mleczarki, ogrodnicy, robotnicy winnic – to przecież nie chwilowi przedstawiciele ról, ale istotni z dziada pradziada pracownicy pola, lasu, gór i wody, co przyszli tu od swych warsztatów pracy święcić dzień igrzysk, słusznie im należny po latach trudu.

Smukłe, czarnowłose dziewczęta o pociągłych, smagłych, trochę męskich twarzach; wielkie, czarne chłopy o rysach romańskich i błękitnych oczach. Tacy zapewne byli ich przodkowie, których stroje przywdziali. I tak samo gromadzili się niegdyś

<sup>22</sup> Fête des Vignerons, tradycyjne święto obchodzone w Vevey pięć razy na stulecie, poczynając od 1797 r. *Vignerons* – właściciel winnicy, winogrodnik.

<sup>23</sup> Henryk Sienkiewicz (1846–1916) pisarz i laureat Nagrody Nobla. Po wybuchu I wojny z Oblęgorka przez Kraków i Wiedeń pojechał do Szwajcarii, gdzie współorganizował i stał na czele Szwajcarskiego Komitetu Generalnego Pomocy Polakom. Zmarł właśnie w Vevey.

w uliczkach miasta, przechowującego jeszcze żywy ślad wieków na murach. Dziś mienia się one suto kolorami [i flagami]: biało-czerwoną Szwajcarii, biało-zieloną kantonu Vaud i żółto- niebieską miasta Vevey.

Dwa tysiące ludu uczestniczą w orszaku. Witają się wesoło, mieszają na ulicach z przyjezdnymi, rozprawiają, żartują, flirtują – wszak to rodziny, znajomi, sąsiedzi. Każdy, nawet najuboższy, zdobył się na nowy strój za własne pieniądze, z przedniego materiału, skrojony według antycznych wzorów.

Biją armatnie strzały...

Ciągnie przez miasto długi, zachwycający korowód jako hasło rozpoczęcia programu dnia, pochód dawnego ludu szwajcarskiego wszystkich kantonów wraz ze wszystkim, co doń przynależy. Suną majestatycznie krowy alpejskie z ogromnymi, ozdobnymi dzwonami u szyi i strojne konie, ciągnące leśny ładunek drwali, i trzoda ze stadem dziwnych baranów pół-białych, pół-czarnych. Dzwonki, rogi pastusze, piszczałki, kobzy i rozmaite ludowe instrumenty składają się na zgiełk osobliwy – przeszłego życia echo.

Godzina ósma rano, niezliczone tłumy widzów tłoczą się na trybuny przez wejścia oznaczone literami alfabetu. Ja weszłam przez bramę „L”, ostatnią. Podobno zmieściło się dokoła areny 20 000 ludzi. Na honorowych miejscach zasiadają dostojnicy, dyplomaci, zagraniczni goście, fanfary i bębny grają hymn cechu winogrodników. Tymczasem arenę wypełniła cała różnobarwna rzesza aktorów-pracowników, aby wziąć udział w tradycyjnym wieńczeniu najgorliwszych hodowców wina przez przewodniczącego uroczystości, noszącego tytuł *l'abbé président*. Na siwych włosach ogorzałego *vigneron'a* spoczął wieniec laurowy przy radosnej wrzawie i oklaskach tłumu.

A teraz zaczyna się właściwe przedstawienie, skomponowane, zorganizowane i wyreżyserowane przez wybitnych artystów. Libretto jest dziełem współczesnego poety Pierre Girarda, muzykę opartą na starych motywach ludowych stworzył Gustaw Doret<sup>24</sup>. Role solistów powierzono znakomitym artystom z Paryża i Genewy. Na orkiestrę w liczbie 150 osób złożyły się zespoły z Bazylei, Berna, Genewy, Lozanny, Vevey, Montreux.

Nie ma tu akcji teatralnej – jest tylko pochód pór roku, ożywionych alegoriami z mitologii starożytnej, otoczonych świętą ich pracowników – i płyną śpiewy pogodne, świeże, o słowach prostych, czasem naiwnych, pieśni zdrowia i siły, splecione w jedną, wielką pieśń, którą pospołu wydał naród. Treść i akcja widowiska to odwieczne przymierze człowieka z przyrodą i hołd składany swej ziemi:

*Terre de mon pays, nourrie par la lumière*<sup>25</sup>.

Ciągnie orszak zimy z wszystkimi robotnikami, których trud pośród śniegów i lodów najczynniejszy. Drwale w fezach na głowach, w jasnych kapotach, w butach

<sup>24</sup> Gustave Doret (1866–1943) szwajcarski kompozytor i dyrygent, interesował się muzyką ludową i tradycją Szwajcarii.

<sup>25</sup> Dosł.: Moja ziemia ojczyzna, karmiona światłem.

z odwijanymi cholewami, z toporami, piłami na ramieniu, poganiają konie u sań, obarczonych ściętymi świerkami.

Siekiera dźwięczy w sercu lasu.  
Kto idzie? – Nikt.  
Bijmy sto razy  
W prosty pień sosny.

Siedzę na trybunie i trzymam na kolanach ozdobny, ilustrowany program z tekstami piosenek. Po powrocie przyszła mi ochota, by przełożyć najpiękniejsze fragmenty.

Za rzeszą roboczą drepce stylowy, drobnym kroczkiem odmierzony taniec, poczet par starczych w białych perukach, fraczkach i krynolinach, chwając filuternie rozrywki statecznego wieku: fajkę, pończoszkę i plotecki.

Poeta złączył z nim orszak młodzieńczy i pieśń weselnych godów:

Trzeba wziąć z pięknych dni  
Szczęścia dość na całe życie.  
Umieć je zawsze zatrzymać  
W dłoniach, w których pierścien świeci.

Wiosna na fantastycznym rydwanie króluje posuwistemu pochodowi kapłanek, dźwigających ogrody kwiecia, barwnemu kręgowi symbolów maja i rzeszy pasterek, pasterzy, ogrodniczek, kosiarzy, wabnym tańcem imitujących gesty swej codziennej pracy. Skoczne melodie, rytmy charakterystyczne wiążą się w szczęśliwy płas młodości, życia, miłości, wije się koło taneczników coraz innych, w takt muzyki wpada improwizowany, szalony okrzyk „Uh- hu- hu hu –hu!”. Wirują ogromne czepce, długie wstążki, kwiaty, pasterskie kapelusze, pudrowane peruki, kolorowe pończochy, francuskie fraki, greckie powłóczyste szaty. Gra tęcza barw, wykwintnie dobranych. Urzeka prosta, pogodna wesołość dzieci gór i wdzięk romańskiej rasy [...] <sup>26</sup>.

Zbliża się lato – Ceres z sierpem jako berłem w dłoni na czerwonym tronie, wołami ciągnionym, w ogniach kolorów i bogactwie urodzaju z gromadą górali i stadem dorodnych krów, grających mosiężnymi dzwonkami, z armią żniwiarzy i żniwiarek w kapeluszach o szerokich skrzydłach. W barwie, rytmie, ruchu coraz żywiej i coraz goręcej – jak też goręcej w nastroju dwudziestotysięcznego audytorium i w upale sierpniowego nieba. W tę atmosferę żaru padają powolne, okrągłe tony pieśni pasterza, wzywającego krowy do południowego udoju – czystością i spokojem chłodzą jak źródł górskiej wody. Miękka melodia zdaje się płynąć z wonnych łąk, czy jasnych fal (Boże, co za tenor!)

Orszak Bakchusa-jesieni to punkt kulminacyjny Fête des Vignerons i apoteoza winobrania. Długi poczet pracowników winnic z narzędziami roboczymi każdej pory roku – olbrzymie, symboliczne grono winne na drągu opartym na ramionach

<sup>26</sup> Opuszczono tekst pieśni, tłumaczonej przez autorkę.

dwóch półnagich młodzianów – królewski Bakchus w strojnej lektyce pod cieniem winnych gałęzi – grupy dzikich faunów, roje bachantek-baletnic w powiewnych szatkach o wszystkich kolorach wina... Dobroduszne, niewyszukane piosenki opiewają prace przy winnym krzewie i sławią boski napój wyciśnięty z jego owocu [...] <sup>27</sup>.

Taniec ożywia się, potężnieje, rośnie – aż zmienia się w szaleńczą bachanalię. *Que la ronde, toujours plus vite, fasse trembler l' air et le sol!* <sup>28</sup> – śpiewa wielki kapłan Bakchusa – i naprawdę powietrze, ziemia i wszystko dokoła zdaje się pęsać w pamiętnym zapamiętaniu. Uh- hu- hu– hu- hu– hu! Vevey tańczy swój świetny, godowy taniec, dla wielu jego uczestników jedyny w życiu... Lecz naraz szal bachiczny topnieje, a rytmy wesela przechodzą w organowy, modlitewny poszum. Na arenę wypływa cały lud igrzyska, aby wznieść jednolity, mocny, gorący *Hymne au pays*:

Niech miłość łączy chór głosów  
w zgodne na cześć twą śpiewanie.  
Kraju Rodanu, zbóż kłosów,  
górn Jura i winobrania [...]

To wreszcie koniec. Mam wrażenie dziecka, które jest po raz pierwszy w teatrze. Nie czuję głodu, upału, znużenia po czterogodzinnym śledzeniu czarodziejskiego misterium. I w niepojętym zachwyceniu, jakie rzadko zdarza się człowiekowi XX wieku, a prawie nigdy dziennikarzowi, ze łzami w oczach wpatruję się jeszcze po zakończeniu widowiska w rojną, kwitnącą barwami arenę, dopóki nie zniknie z niej ostatnia grupa orszaku.

Został mi na pamiątkę medal brązowy, bity ku uczczeniu świetnych godów ludowych i *Livret officiel*, program wydany przez komitet Fête des Vignerons Vevey 1927. Dowiedziałam się z tej książeczki, że:

Szwajcaria przedstawia klasyczną kolebkę tego, co nazywa się widowiskiem narodowym. Żaden lud nie umie tak organizować wielkich manifestacji, gdzie poezja, muzyka, wdzięk tańców i wspaniałość orszaku łączą się w całość imponującą i powabną [...] Z ducha szwajcarskiego wyszło to spontaniczne dzieło: *Festspiel*. To słowo nie do przetłumaczenia zdobyło sobie prawo obywatelstwa w języku francuskim. Kusiły się nieraz inne narody o przeniesienie go do siebie, ale bez powodzenia, bo ta szwajcarska roślina, pozbawiona swej ziemi, powietrza, swych gór i przejrzystości swych jezior, nie może się gdzie indziej rozwijać.

Jeden z wielkich szwajcarskich pisarzy, Gottfried Keller <sup>29</sup> oświadczył, że „człowiek wraca do siebie lepszym wzięwszy udział w jednej z tych uroczystości, jakie posiada Szwajcaria. Najslawniejsza z tych manifestacji to *Fête des Vignerons*” w Vevey.

<sup>27</sup> Opuszczono tekst pieśni o Noem, Mojżeszowi i o winie.

<sup>28</sup> Niech to koło, kręcąc się coraz szybciej, sprawi że zadrży powietrze i ziemia (franc.).

<sup>29</sup> Gottfried Keller (1819–1890) szwajcarski pisarz tworzący po niemiecku, autor powieści i nowel przedstawiających szeroką panoramę życia gospodarczego, społecznego i obyczajowego Szwajcarii w II poł. XIX wieku.

Dowiedziałam się i szczegółów historycznych. Tradycję tych osobliwych uroczystości utrzymuje stara, rzymskich czasów sięgająca organizacja La Confrérie des Vignerons<sup>30</sup>, której głowa nosi tytuł otoczony dostojenstwem legendy ludowej *l'abbé président*. W r. 1927 był nim wybitny polityk, delegat Szwajcarii do Ligi Narodów, Emil Gaudard<sup>31</sup> – pierwszy, który miał szczęście przewodniczyć Świętu Winogrodników po raz wtóry, gdyż od roku 1905 piastuje z dumą emblematy swej godności: stylową, białą perukę, srebrny pastorał, ozdobiony gałązkami winnymi i puchar rzeźbiony z drzewa bukowego, na którym wszyscy prezydenci od roku 1618 zawieszają pamiątkowe medaliony.

Bractwo hodowców wina pod wezwaniem św. Urbana, zwane *La louable Confrérie*<sup>32</sup>, należy od dawna do najpoważniejszych korporacji. W grono jego przyjmowani są wyłącznie mistrze zawodu, a głównym jego zadaniem jest czuwanie nad kulturą uprawy winnej latorośli. Najcelniejsi winogrodnicy otrzymują chlubny wieńiec z rąk prezydenta i uczestniczą w orszaku pod baldachimem u boku sztandaru cechowego ozdobionego napisem: *Ora et labora*<sup>33</sup>.

W dawnych czasach znaczenie konfraterni było jeszcze większe. Miała ona pierwszeństwo przed wszystkimi wierzycielami, mogła stosować wobec gospodarzy i robotników zaniedbujących winnice, szpetne, upokarzające kary, była niejako „państwem w państwie”. Tradycja święta winnic i autorytet bractwa oparły się nawet burzy rewolucji francuskiej, chociaż i w to niezmaćcone ustronie wtargnęły jej echa. W r. 1791 władze krajowe radziły zaniechać uroczystości w obawie wielkich kosztów i możliwości wślizgnięcia się do miasta podejrzanych indywiduów, które trudno by śledzić wśród tłumu i świątecznego zamętu. Mimo wszystko parada odbyła się z całą świetnością, a w kronikach jej zostało wspomnienie dziewczyny „pięknej jak gwiazda wschodząca”, która wystąpiła w roli bogini Ceres jako pierwsza żeńska uczestniczka widowiska (w dawnych czasach kobiety nie brały w nim udziału). Przedstawienie podlegało ścisłej kontroli policji, a nawet treść kupletów, zresztą niewinna, wydała się miejscowemu cenzorowi niebezpieczną. Okrojono niektóre zwrotki.

W archiwach konfraterni zachowała się lista zaproszonych na Fête des Vignerons w r. 1838. Dzienniki wspominają, że pewien chory hrabia polski, przebywając na kuracji w Bellerive, prosił o pozwolenie umieszczenia go wraz z łóżkiem na estradzie i obliczenie ceny biletu zależnie od wielkości zajętego miejsca, co też zostało spełnione. Jak wszystko na świecie, znalazło i Fête de Vignerons swych wrogów. Jeden z dzienników szwajcarskich o tendencji religijnej wyraził ongi ubolewanie, że stało się ono „mieszaniną mitologii i teizmu” i że zanika coraz bardziej

<sup>30</sup> Dosł.: Bractwo Winogrodników, instytucja organizująca w Vevey Fête des Vignerons, posiadająca własne muzeum. W XX wieku święto obchodzono w latach: 1905, 1927, 1955, 1977, 1999, najbliższe planowane jest na rok 2019.

<sup>31</sup> Emil Gaudard (1856–1941) prawnik i polityk szwajcarski.

<sup>32</sup> Dosł.: Chwalebne Bractwo, Szlachetne Bractwo.

<sup>33</sup> *Ora et labora* (łac.) – módl się i pracuj, słowa św. Benedykta z Nursji, stanowiące następnie dewizę benedyktynów.

jego charakter patriotyczny. Jakby w odpowiedzi na ten zarzut znaczenie narodowe i polityczne uroczystości w Vevey wystąpiło z silnym akcentem w r. 1889, kiedy po aresztowaniu na terytorium szwajcarskim niemieckiego policjanta-szpiega wymiana not między Bernem a Berlinem podminowała umysły i wywołała ogólne zaniepokojenie<sup>34</sup>. Inauguracyjna mowa „księdza-prezydenta”, wybitnego męża stanu, na temat miłości ojczyzny i wolności ziemi helweckiej urosła wtedy do roli niemal enuncjacji politycznej.

Lepiej by mi było poprzestać na tym czarownym splocie obrazów i zakończyć wycieczkę w połowie drogi dokoła nadlemańskiego wybrzeża, niż w nienasyconej zachłanności turysty gonić dalej, byle wyzyskać jeszcze pozostały skrawek dnia i szmat przebytej drogi.

Ale jakże być w Vevey, a nie zajrzeć do Montreux i Chillon? Zwłaszcza do Chillon<sup>35</sup>, bo pierwsze w najcudniejszych rozkoszach pejzażu wprawdzie zanurzone, ma zupełnie banalną fizjonomię międzynarodowego uzdrowiska. Zatem Chillon – tajemniczy, wysunięty w jezioro średniowieczny zamek książąt sabaudzkich, gdzie w grotach więziennych zdają się jęczeć ofiary rycerskiej srogości, a w komnatach drzemać cienie w zbrojach, albo w szatach księżniczki z bajki. Oglądam historyczne stropy, kominki, dzbany, zydle, na których siadać nie wolno i rozmyślam na temat, że dekoracje opery i dramatów osnutych na tle obyczajów zamierzchłych epok popularyzują wprawdzie dawne style, ale psują kompletnie wrażenie oryginału...

Lecz co to? Czyżby jaki gromowładny rycerz przeszłości rozgniewał się za profanację uświęconej tradycją rezydencji? A może duch Noego, poruszony żartobliwą aluzją piosenki „winobrańców” szuka pomsty w strumieniach nowego potopu... Przez chłodne, obszerne sale zamkowe leci gwałtowny wichur, strzelaniem ciężkich podwoi odpowiada na gromy niebieskie, a na powierzchnię Lemanu, który zrobił się szary, spadają z chmur istne wodospady.

Biegają po zamku strwożone Angielki (tych zawsze wszędzie pełno), ryzykując bieg na przelaj przez dziedziniec bez parasoli, bo te nam odebrał u bramy przezorny portier. Aby tylko do tramwaju i pociągu, parę kroków!

Ale próżny trud, niepotrzebny chłód mokrego ubrania. Ulica stała się rzeką, do której wpadają niezliczone potoki z górskich winnic, przynosząc muł, kamienie, zielone gałęzie, kłody drzewa – co kto ma! O tramwaju i pociągu ani marzyć. Na ulicach stoją po kolana w wodzie strażacy uzbrojeni w drągi, łopaty, buty gumowe z cholewami i bezskutecznie próbują odgarniać odmęty wód i błota. Angielki wyglądają jak zmokłe kury, czepiają się balustrady ogrodu, wspinając się możliwie najwyżej, aby nie brodzić, jak tamci. Niestety, i to nie pomaga. Stado niewiast robi strategiczny odwrót i chroni się pod dach jakiejś cukierenki, gdzie co prawda nie dostaną w tłoku gorącej herbaty, ale na pociechę mogą rozmówić się w swej ojczystej mowie, co dla osób ignorujących z zasady wszystkie języki świata ma nie lada znaczenie.

<sup>34</sup> Mowa o tzw. aferze Augusta Wohlgemutha.

<sup>35</sup> Chillon, zamek nad Jeziorem Genewskim w kantonie Vaud, słynny zabytek architektury obronnej, rozślawiony też literacko za sprawą George’a Byrona, autora powieści *Wieżnia Chillonu*.

Biedne, zatopione winnice – może te same, których właściciele kroczyli tak dumnie w Vevey w wieńcach na skroniach!

Moje Angielki pozabierały wszystkie auta, jakie po drodze się nawinęły. Przy-  
maszerowałam pieszo, po kostki w błocie do Montreux. Pociąg do Vevey wpraw-  
dzie nie wiadomo kiedy pójdzie, ale bilet powrotny do Genewy jest ważny także  
na statek, sunący brzegiem Lemanu wzdłuż winnych pagórków, tonących z wolna  
w zachodnim mroku.

Mademoselle Fournier, zaniepokojona wieściami o powodzi, nie wie, o co ma  
pierwej pytać: o przygody podróży, czy o Fête des Vignerons, które widziała w mło-  
dości i razem ze mną uwielbia.

– *Magnifique, merveilleuse, mademoiselle* – odpowiadam – czy pani widzi moje  
buciki? Umieram ze zmęczenia i z zachwytu...

## U KOLEBKI SZWAJCARII

Droga z Interlaken do Lucerny nie pozwala mi ani na chwilę oderwać oczu od  
okna. Pociąg wznosi się coraz wyżej, stękając i zgrzytając. Horyzont rośnie – ziemia  
wydaje się coraz większa. Profile górskie rysują się czysto i ostro w najbardziej nie-  
spodziewanych kształtach na tle przejrzystego poranka. Białe sznureczki strumieni  
rozbijają się na mgiełkę rześkiego pyłu w płochych skokach ze skalnych złomów,  
nikną z oczu i znowu wyłaniają się na dole w zwartych kaskadach.

Zastanawiam się, które z miasteczek rozsianych po stokach i dolinach wybrała-  
bym na mieszkanie. Każde ma inny czar. A największy chyba to, co usiadło jak rój  
gołębi na stromym zboczu, aby razem z nim wspinać się w górę i staczać w pochy-  
łość. Tak śmiesznie maleńkie u stóp górskich kolosów i takie ufne wydaje się w swej  
pokorze, jakby małe kociątko przytulone do ucha słonia.

Przy oknie siedzą dwie szwajcarskie mniszki. Jedna czyta psalmy, druga szy-  
dełkuje koroneczkę. Nie patrzą wcale na góry, gdy ja wychylam się ze swego  
dalszego miejsca, aby choć trochę zobaczyć. Nareszcie domyśliły się i następuje  
zamiana.

Dworzec w Lucernie trochę przypomina lwowski. Hotele przepelnione. Odesła-  
no mnie z jednego z pensjonatów do prywatnego domu dwóch Szwajcerek. Matka  
i córka – okazała, szeroka matrona i *Fräulein* Tina, blada wędna dziewczyna  
z gładko przyczesanymi włosami i ciężkim, niemodnym koszem warkoczy na głó-  
wie (dzisiaj po 40 latach, byłaby już modna). Mówią akcentem niemieckich Szwaj-  
carów, są pocziwe i niesłychanie systematyczne. Dowiedziawszy się o moich zain-  
teresowaniach, rozwinęły na stole mapę i otworzyły kolejowy rozkład jazdy, ukła-  
dają mi program wycieczek. Debata trwa ze dwie godziny. Przyjmuję tę uprzejmość,  
nie mówiąc im, że ja załatwiam te sprawy bardzo krótko: informuję się na dworcu,  
a zdarza się nawet, że decyduję się dopiero w ostatniej chwili, dokąd pojadę. Wszyst-  
ko jest, jak to mówią, „na końcu języka”.

Kryty, drewniany most w Lucernie, to poemat! Pod jego szerniałymi belka-  
mi i gontami śpią długie wieki, których historia skryształizowała się w trójkątnych

obrazach olejnych, wklonowanych w szczyt dachu ponad głowami przechodniów. Rycerze rozgrywają tam bitwy, płoną pożarne łuny, święci Pańscy czynią cuda, patrycjusze starej Lucerny dokonują wspaniałych czynów, koścista śmierć przechadza się wśród ludzi, a diabeł czyha na zgubione dusze... Sentencje i wiersze objaśniają sens kolorowych opowieści. Głucho dudnią kroki na deskach, obraz za obrazem przesuwa się w mroku poddasza. Rzeka jest wąska, ale wędrówka przez most ciągnie się a ciągnie, bo położono go ukośnie, na jak najdłuższą rozpiętość. Takich mostów miała ongi Lucerna kilkanaście i sama je zniszczyła w wieku XIX, w niechlubnym dla Europy okresie zatrąty zabytków na rzecz „nowoczesności”.

Chciałam przypatrzeć się obrazom, lecz nie było to łatwe. Trzeba było iść z zadartą do góry głową, posuwając się noga za nogą i przeskadzając idącym, którzy się spieszą. Oni tu żyją, a nie myślą o zwiedzaniu. Niepodobna w jednorazowym przejściu przez most obejrzeć wszystkich obrazów – liczba ich nuży.

Wracam do Lucerny z Hergiswilu, cudnego ustronia nad jeziorem Czterech Kantonów u stóp Pilatusa, gdzie w wytwornym pałacyku chronią się przed nędzą i ludzką złością matki, które nie mają mężów, wraz z dziećmi, które nie mają ojców. Troskliwość mojej gospodyni o terminy odjazdu pociągów okazuje się słuszna. Pociąg powrotny, który wybrałam, odchodzi tylko w dni świąteczne – muszę czekać godzinę na małej stacyjce w Hergiswilu. Siedzę na ławeczce i patrzę, jak zębata korona Pilatusa zanurza się w coraz ciemniejsze fiolety wieczoru. Po torach przetaczają się lokomotywy i wagony ciężarowe w tę i ową stronę przy akompaniamencie dźwięków, sapań i zderzeń. Pod jednym z wagonów igra mały koteczek, nie rozumiejąc niebezpieczeństwa. Za sekundę zmiażdżą go koła, a zabrać go stamtąd niepodobna. Ale jakiś stary robociarz znajduje lepszy sposób. Podnosi grudkę węgla i ciska nią w kota, który pomyka w trawę, niezawodnie w poczuciu swej głębokiej krzywdy. W tej chwili pociąg rusza, jak gdyby tylko na to czekał. Wybawca kotka wraca do swej ławki i uśmiecha się do siebie, mrużąc: *Die dumme Katze!* [Głupi kot!]

Jakże często jesteśmy podobni do tego głuptaska, nie umiejąc w życiu docenić małych, dotkliwych, ale zbawiennych ciosów!

Szeroka jejmość i jej córka są poważnie zaniepokojone moim niezbyt zresztą znacznym spóźnieniem i wyrażają mi po powrocie swoje obawy. A przecież jestem dla nich obcą, nieznaną osobą z dalekiego świata, przez nikogo nawet im niepoleconą – ot, zwyczajną podróżną, która zatrzymała się w mieście na parę dni. Cóż je moje losy mogą obchodzić? Miła jednak taka bezinteresowna troska, gdy się utonie w oceanie obcych ludzi, rzeczy, zdarzeń, jak nikle źdźbło w wirze rwącego potoku...

Mały, spacerowy stateczek wydał pożegnalne, do krótkiego ryku lwa podobne westchnienie i cicho odbił od przystani Lucerny. Miasto maleje, oddala się, nikt nie – a przed oczyma rośnie, świetnieje, wdzięczy się w całej mocy królewski cud górskich koron, opasujących jezioro Czterech Kantonów. Po niebie przewalają się w popłochu stada białych i szarych obłoków, a oblicze nieba i ziemi przybiera coraz inny wyraz. Ucieka otwarty uśmiech słońca przed płachtą ponurej chmury i w okamgnieniu radość gór i wody zmienia się w chłodny cień smutku. Tajemnicza

gra refleksów uwydatnia tym silniej czar niespodzianek, jakie wylaniają się po ominięciu każdego ramienia jeziora o misternie wyciętych brzegach. To nie monotonna przejażdżka owalem Lemanu, który w ogromie swego obszaru pozwala przeniknąć z krańca na kraniec wszystko, co posiada.

Leman jest prosty, jasny, gołębio-pogodny. Jezioro Czterech Kantonów o kształcie otwartej łapy ptasiej ma kolor otaczających je lasów i dzikie, pierwotne oblicze. Z jego nieprzeniknionej, ciemnej toni i śmiałych fantastycznych rysów gór wyglądać się zdaje tajemnica bohaterów starej Szwajcarii i cała skoncentrowana, nieprawdopodobna uroda tego kraju.

Nad tym jeziorem opada nawet i zanika chęć zostania na chwilę malarzem czy poetą, jaka zazwyczaj opanowuje nas wobec wspaniałych dzieł przyrody. Każdy wyraz zdaje się tu za słabym, każda barwa za bladą. Czymże przemijająca wartość ludzkiego słowa, czym trwałość farby w stosunku do wieczystej potęgi alpejskich granitów i nieopisanego, bezpośredniego uśmiechu ich przyrody? Piękno Alp lepiej „jadać na surowo”. Odrzucić pędzle, płótno, papier, pióro, miast wszelkich przyborów mieć jeno materiał własnej duszy i czerpać, brać, chłonąć piersią, otwartymi oczyma, spragnionym sercem całymi garściami to, co tak hojnie rozrzucił niewidzialny geniusz w tym lilipucim kraiku, który się jednak zdaje być światem olbrzymów.

Strzelisty Pilatus czyni wrażenie obronnego zamczyska średniowiecznego – okrągła, poszczerbiona, czerwona Rigi przypomina w swych przysadzistych kształtach bastiony nowoczesnej twierdzy. Przekrój jej skał ukazuje falistą linię pokładów o różnorodnych barwach i każe domyślać się przedpotopowych kataklizmów, których gigantycznej sile zawdzięcza ten wybrany kąt ziemi swoje wyrzeźbione rysy, swój nieporównany wyraz. Warstwy rude, żółte, różowe i szare przechodzą z poziomu w ukos, w zaokrąglone zygzaki, albo zgoła w pion. Na krawędzi skalnej wykuto wygodną drogę opasującą Rigi w połowie wysokości szczytu. Gonią się po niej samochody, kryjąc się co moment w czarnych okienkach tunelów. Bieg ich nawleka jak na nitkę paciorki otworów w skale.

A dokoła dumnych, chmurnych posągów jakież raj roślinności święci swe letnie gody! Łąki szaleją zielenią jaskrawą, niezaprzeczoną, do niczego niepodobną, lasy mocne, żywotne objęły kontury stoków puszystą, ciemną czupryną. Leśne, pierwotne kantony Szwajcarii...

Tymi zboczami przekradali się przez gąszcze Wilhelm Tell i towarzysze w ową noc przełomową, która na wieki skierowała dzieje krainy na tę, a nie inną drogę. Tu na łące zwanej Rütli lub Grütli stoi wtulony w głąb lasu prosty, drewniany szalet, zbudowany na kształt odwiecznych sadyb górali szwajcarskich, który zamiast marmurowych pomników przypomina swoim i obcym, że na tym miejscu przed bez mała siedmiuset laty narodziła się pewnej nocy sierpniowej dusza wolnej Szwajcarii<sup>36</sup>.

<sup>36</sup> Pewna nieścisłość Autorki: to łąka, a nie stojący na niej drewniany budynek (franc.: chalet) stanowi święte narodowe miejsce Szwajcarii.

Wtedy, kiedy nad brzegiem jeziora Czterech Kantonów lud leśnych wiosek za hasłem swych bohaterskich wodzów Waltera Fürsta z Uri, Wernera Stauffachera ze Schwyzu, Arnolda an der Halden z Unterwaldu<sup>37</sup> dnia 1 sierpnia 1291 poprzysiął tyranom walkę na śmierć i życie, dając początek pierwszej chyba w dziejach świata rewolucji wolnościowej, pierwszej budowie demokracji, pierwszej federacji międzynarodowej.

Łąka ta stała się najdroższą pamiątką Szwajcarów. W r. 1859 *La Société d'Utilité Publiques*<sup>38</sup> i młodzież szkolna zorganizowały składkę i z uzbieranych funduszy wykupiono Grütli, aby ją ofiarować federacji szwajcarskiej jako własność narodową. Wzniesiony na niej szalet stał się przedmiotem kultu Szwajcarów i celem pielgrzymek patriotycznych. Skromny domek drewniany wystarczy im za wspaniałość najtrwalszych monumentów architektonicznych. Nie chcą ich tutaj. W r. 1783 filozof francuski Raynal<sup>39</sup> chciał wnieść na Grütli statuę wolności. Rząd kantonu Uri odrzucił propozycję, oświadczając, że pamięć dzielnych przodków w sercach ich pra-synów i niezmiennie piękno przyrody będzie po wieczne czasy najwłaściwszym pomnikiem.

I zdaje się nie być przypadkiem, ale wynikiem głębszych, niezbadanych przyczyn, że ten rzadki kwiat międzynarodowego braterstwa w imię wspólnej wolności zakwitł w obliczu najcudniejszego ze szwajcarskich zakątków – w miejscu, którego sam widok budzi uczucie wzniosłości. Kraj Wilhelma Tella ma piękną duszę w pięknym ciele, a piękności tej najwymowniejszym wyrazem jest właśnie ta cicha, jakby w zamyśleniu nad własnym czarem pogrążona kolebka Szwajcarii, pamiętna wielkim czynem.

Jestem sama na pełnym obcego tłumu pokładzie statku i to, na co patrzę, zapada gdzieś w głąb mojej istoty, nie krystalizując się w słowa dzielonych z kimś wrażeń. Z gór i z wody spływa na mnie bezpośrednio ich mocna mowa, której nic nie mąci. Obejmuje mię płomień zachwycenia ponad wszelką miarę i poza wszelkim słowem. Wzlecieć ponad te góry, przypaść do najbliższej nieba, do łąki najbardziej zielonej, objąć wzrokiem wszystkie, ile ich wokół się mieści, krzyżeć, śmiać się z radości, płakać łzami szczęścia pozaosobowego, bezprzedmiotowego, tarzać się po tej pysznej trawie, modlić się bez słów w odczuciu niepojętej, nieogarnionej siły – czy ja wiem, co jeszcze czynić bym rada? Dlatego tylko, że na naszym małym, szarym, biednym globie istnieją takie raje...

---

<sup>37</sup> Mowa o historycznym wydarzeniu z okresu walk z panowaniem habsburskim: 8 XI 1307 na łące Rütli przysięgę wspólnej walki złożyli Werner Stauffacher von Steinen ze Schwyz, Erny (Arnold) an der Halden z Melchtal w Unterwalden, Walter Fürst z Attinghausen w Uri oraz 30 innych mężczyzn.

<sup>38</sup> Słynną łąkę Rütli, narodowe sacrum Szwajcarii, wykupiła w 1859 r. prywatna organizacja – Towarzystwo Użyteczności Publicznej – która w następnym roku podarowała łąkę Konfederacji Szwajcarskiej. Teren, ocalony przed budową tam hotelu i zachowany w niezmiennym kształcie, odwiedza dziś rocznie ponad 100 000 osób.

<sup>39</sup> Guillaume Raynal (1713–1796) historyk i filozof epoki Oświecenia związany z kręgiem encyklopedystów.

Czy oni doświadczają kiedy takich uczuć, ci szczęśliwi mieszkańcy Lucerny, Szwycu, Uri i Unterwaldu? Tu się zrodzili, tu wyrosli i może wydaje im się, że świat cały musi być strojny w taką bajeczną grę barw i kształtów.

Patrzę dokoła na pasażerów statku. Nie, wcale nie krzyczą, ani płaczą, ani się śmieją z zachwytu, ale śpiewają. Młodzi sportowcy o osmalonych ramionach, szyjach i twarzach, półnaczy, w trykotach, rozradowani niedzielą, zabawą i swoją młodością.

Die Herzen auf, die Rosen blüh'n

O, liebe Meienzeit!...<sup>40</sup>

Wpada w ciszę jeziora głos mocnych piersi i roześmianych ust. Na boku siedzi samotna, stara dama o siwych włosach, wymykających się spod czarnego kapelusza. Klaszcze w dłonie uradowana i ciągnie, jak może, razem z młodzieżą:

Die Herzen auf, die Rosen blüh'n...

Schowało się słońce i znikło żywiołowe wesele jeziora, skały powlokły się mrokiem. W załomach Pilatusa zabłyśły iskry lamp elektrycznych [...] <sup>41</sup>

## NAD AAREM

Mieszkać na samym krańcu Interlaken od strony Thuner-See to znaczy mieć za sąsiadkę dumną Jungfrau w wieczystej, istotnie dziewiczej bieli i oglądać ją w stroju poranku, południa i wieczoru, w jasności słońca i w chmurach ciskających gromy. I patrzeć, jak do jej stóp przytuliła się skromnie obrośła lasem górka Heimwehfluh, na którą z trudem, piskiem i sapaniem wspina się zębata kolejka.

Ten widok powinien płacić gościowi za wszystkie niewygodę trzeciorzędnego pensjonatu: strome schodki na trzecie piętro, ciasny pokoik i jedyny w nim stolik, który dźwiga dzbanek i miednicę, pełniąc funkcję umywalni, a w razie potrzeby, po uwolnieniu go z tych ciężarów, także i biurka. Tak mieszka się w Szwajcarii, kraju hoteli, skoro się szuka wypoczynku w pełnym sezonie światowego uzdrowiska...

U stóp złomów skalnych pluszcze Aar. Prawie niepodobna imienia tego wymówić bez potrącenia o strofy Słowackiego:

... W szwajcarskich górach jest jedna kaskada,

Gdzie Aar wody błękitnymi spada.

Nie ma tu wprawdzie kaskady, ale Aar jest naprawdę niebieski, turkusowy. Wszystkie wody Szwajcarii mają swój odrębny, stały koloryt. Jezioro Lemańskie jest szafirowe, przejrzyste, Rodan ciemnej barwy szmaragdu, wpadająca doń Arwa – mętna szaro-żółta. U ujścia jej do Rodanu poza Genewą wody obu rzek płyną obok siebie w jednym korycie, nie łącząc się jeszcze w jednolity strumień, wyglądają, jak dwie wstążki różnego koloru wzdłuż razem zeszyte. Zaś Aar ma zawsze pastelową, niebiesko-seledynową barwę, zarówno rano, jak wieczorem, w pogodę i w czas chmurny.

<sup>40</sup> Dosł.: Róże kwitną, serca się unoszą, o słodki czasie majowy (niem.).

<sup>41</sup> Opuszczono fragment opisujący gospodynię autorki, Fraülein Tinę.

Dwa jego brzegi to dwa różne światy. Z jednej strony ożywione siedlisko ludzkie, punkt zborny turystów Europy i Ameryki. Ulice, chodniki, samochody, wille, hotele, magazyny. Nęcą pamiątkami sklepy jubilerskie, wystawy misternych, lili-pucich rzeźb z kości słoniowej, rzeźbionych w drzewie górali, niedźwiedzi, szaletów. Przed pracowniami koronek i haftów dziewczęta w czarnych gorsetach i białych czepeczkach manewrują zręcznie w oczach publiczności igiełką lub klockami, dla reklamy.

A po drugiej stronie rzeki – dzika przyroda, niedostępna dla człowieka już na parę metrów ponad głowę. W bliskim sąsiedztwie skał, porośniętych drzewami według ich własnej woli i mocy, sterczy w górę prosta, czworokątna wieża kościoła. Zmurszałość jej szarych ścian, umajonych do połowy lśniąco, zwartymi listkami pnącej rośliny, tłumaczy wymownie zatarty trochę napis: „1294”. Dzwon na wieży wymawia z namysłem sylaby godzin.

A obok cmentarz pełen kwiatów, sadzonych troskliwie, ciosanych figur i krzyżów, pobożnych wierszy, wyrytych gotyckimi literami i czyichś łez. Oto grób dwudziestoletniej dziewczyny, ozdobiony epigramem tyle bolesnym, ile mówiącym o poddaniu się niezbadanym wyrokom. Daty rozmaite licytują się wzajemnie brzemieniem lat, a nad wszystkimi góruje najpoważniejsza: 1294.

Lecz Aar, który mierzy płynący czas na wyścigi z dzwonem wieżowym, chociaż go nie liczy – drwi sobie i z niej, skłaniając nas do spojrzenia na czerwone skały, stojące tu bez daty...

Jeszcze jedno biegnącego czasu uprzytomnienie: z ogródka pobliskiego leci rażny śpiew dzieci, rozigranych pod okiem ochroniarki. To już nie głos przeszłości, ale jakby wołanie tych, którzy po nas będą. Aar i o nich swoją niezmienną pieśń śpiewa. Przemina rychło i te istnienia, chociaż nikt nie zgadnie, czy u stóp tej wieży położą się wśród kwiatów, czy w świat pobiegną, jak błękitne wody Aaru.

Niedźwiadku przemiły, co igrasz w swym berneńskim więzieniu, wystawionym na widok publiczny ku uciechu przechodniów, wspinasz się na ogołocony, sękaty pień sosny, zajadasz rzuconą ci marchewkę – nic nie wiesz o tym, że twoja kudłata postać stała się oficjalnym, odwiecznym zapewne godłem miasta i kantonu, który też i imię twoje sobie przywłaszczył...

Niedźwiedź króluje w Bernie nie tylko na tarczach i pieczęciach urzędów, ale wszędzie, gdzie spojrzeć: na płaskorzeźbach, pomnikach i fontannach, u wejścia do pałacu rady federacyjnej Szwajcarii<sup>42</sup>, na wystawach sklepowych w postaci figurek, lalek, główek lasek – a jako żywy okaz stanowi przedmiot nieustającej, serdecznej ciekawości mieszkańców stolicy. Ten już nie władcą jest, ale niewolnikiem. W pięknie ocembrowanym dole, okrągłym jak arena cyrkowa, zwanym „Bärengraben”, widziałam całą rodzinę brunatnych kudłaczy. Bariere otaczającą tę rezydencję oblegała wciąż gromada amatorów zwierząt, zwłaszcza dzieci, przypatrując się pociesnym figlom młodych, niezgrabnych niedźwiadków.

<sup>42</sup> Mowa o pałacu na wysokim brzegu Aaru, będącym zarówno siedzibą Parlamentu, jak i Rady Związkowej, czyli rządu federalnego Szwajcarii.

Drugim ulubionym zwierzęciem Berna był wtedy jeszcze pies-robotnik, który zaprzęgnięty do wózka, pełnił posłusznie służbę konia, osła czy muła. Spotykałam tam nieraz mleczarza, przekupkę czy wędrownego rzemieślnika, powierających czworonożnemu współpracownikowi swój towar czy warsztat. Służba niełatwa, tym bardziej, że górzysty teren Berna utrudniał pochód. Towarzystwo opieki nad zwierzętami broniło psich interesów, zakazując korzystania z tych usług, toteż psów pociągowych było już coraz mniej na ulicach Berna. Dzisiaj zapewne ich już wcale nie ma.

Mnogość wzgórz i dolin wyzyskali umiejętnie dawni architekci Berna, tworząc zeń miasto teras, mostów i arkad. Szumią w dole turkusowe wody Aaru, a nad nimi, po tym i tamtym brzegu, wzdłuż i wszerz, ponad głowami ludzi i pod ich nogami splata się przedziwna symfonia sklepień, wiązań, łuków, przepaści i stopni. Nad grupą starych budynków, przeważnie podcieniami powiązanych, dominuje strzelista katedra gotycka na wysokiej terasie, z której spojrzenie w stromą otchłań może przyprawić o zawrót głowy. Rzeźbiony portal główny katedry to jedno z czołowych arcydzieł średniowiecza.

Aż przykro patrzeć nań wzrokiem roztargnionego turysty, który wciąż się spieszy, liczy godziny i nie znajduje czasu na spokojne, rzetelne obejrzenie tych cudów.

## OSTATNI DZIEŃ

Być w Szwajcarii, a nie widzieć Rapperswilu... – pomyślałam zwiedzając Zurych. Więc jadę. Wypadła mi po drodze przesiadka na jakiejś stacji. Zbyt pilne wyglądanie oknem przypłaciłam bólem oka, w które wiatr dmuchnął mi iskrę z lokomotywy. Przed laty czterdziestu nawet w tym bogatym, świetnie wyposażonym kraju sapały jeszcze węglowe „samowarki” zamiast pociągów elektrycznych.

Usiadłam na ławeczce przy torze kolejowym i z podniesioną głową, z lusterkiem w lewej ręce, a chusteczką w prawej usiłowałam na próżno oczyścić moje biedne oko. Przystąpił do mnie kolejarz w mundurze, zaszwargotał dialektem miejscowym i zaprowadził mnie do biura. Tam podsunął mi krzesło, odchylił mi powiekę, przytrzymał rzęsy zapalką i z niebywałą zręcznością wydobyl różkiem chustki węgielek. Byłam w kłopotcie, jak go wynagrodzić – może obraziłby się za wręczenie napiwku. Podałam mu tylko rękę i serdecznie podziękowałam.

– O, to drobnostka – powiedział – my często ratujemy w ten sposób podróżnych.

Zbliżałam się do Rapperswilu w nastroju... Już z daleka widok tej jedynej w czasach niewoli twierdzy polskości nikomu obcemu niepodległej spotęgowił moje wzruszenie<sup>43</sup>. Z niebieskich wód jeziora wychylało się na skale śred-

<sup>43</sup> Muzeum Narodowe Polskie, funkcjonujące w Rapperswilu od 1870 r., gromadzące archiwalia, księgozbiór, ryciny i numizmaty związane z Polską i polską emigracją. W 1927 r. na mocy ustawy Sejmu RP zbiory przeniesiono do Polski, głównie do Muzeum Narodowego i Biblioteki Narodowej w Warszawie. Podczas II wojny uległy zniszczeniu wraz z Pałacem Krasińskich. Warto podkreślić, że

niowieczne zamczysko z basztą w zielonych wieńcach bluszczu, z okrągłą pełnią zegarowej twarzy i półksiężycem zegara słonecznego na ścianie. Szeroki horyzont opiera się aż na dalekiej panoramie ośnieżonych szczytów Alp Glarneńskich.

W klasztornej ciszy wtulonego w mury dziedzińca wołały tragiczne słowa wyryte u stóp smukłej kolumnienki z orłem na szczycie:

„Niepożyty duch Polski, stuletnią krwawą walką protestujący przeciw ciemnącej go przemocy, z wolnej ziemi Helwetów przemawia do sprawiedliwości Boga i świata”.

Oto było ongi jedyne na tej ziemi pokoju, ładu i swobody przypomnienie, że kędyś na świecie istniała przemoc, niewola, daremne wysiłki krwi i rozpacz bezsilnych łez. Skarga ta na kolumnie barskiej u wrót raperswilskiego zamku to jedyny zgrzyt w ciszy czarującej rezydencji, która zdawała się być wyjęta z fantastycznej bajki, z legendy o śpiących rycerzach. Tak dumając, zbliżyłam się do zakratowanej bramy zamczyska i zdziwiona, że jest zamknięta, zadzwoniłam<sup>44</sup>.

– Oho, spóźniła się pani o piętnaście lat! – zawołał do mnie przez kratę kustosz muzeum w białym kitlu, uwijający się między rozstawionymi w westybulu pakami. – Nie puszczyć już pani do środka, nikogo nie wpuszczam, mam stanowczy zakaz ministerstwa.

Muzealny spokój rozbija raz po raz młotek, spadający na wieka białych skrzyń. Po marmurowych schodach błąkają się kłęby wiór, kręci się tu i tam służba przenosząc, przesuując, zamykając. Powietrze przesycy gorączka pośpiechu i atmosfera zmiany.

Taki nastrój mieszka tam, gdzie się coś kończy, albo coś zaczyna. Szczęśliwy wjazd do nowo objętej siedziby lub też żalosna likwidacja i opuszczenie rezydencji, zaślubiny czy pogrzeb przy całej sprzeczności swych barw zbliżają się ku sobie tym jedynym wspólnym tonem bieganiny i nieładu, który na dalszy plan odsuwać się zdaje istotę sytuacji, a pierwszy głos oddaje temu, co jest na czasie do zrobienia. Z ogołoconych ścian spoglądać mogą w takiej chwili zarówno oczy przeszłości, co już nie wróci, jak dni nadchodzące, jak gdyby szukały, gdzie przypadnie im się osiedlić.

W pustoszejącym Rapperswilu przychodziły do głosu jedne i drugie. Ze ścian zstępowały portrety, popiersia, medaliony twórców, wodzów, marzycieli polskiego romantyzmu, schodząc ze swoich tronów, gdzie przez pół wieku dzierżyli władztwo dusz i kładły się posłusznie w ciasne paki pomiędzy wióry, niby do trumny. Medale, rzeźby, obrazy, wieńce, mundury, karabele, zbroje – przestawały snuć swe opowieści, opuszczały piedestał i stawały się znowu realnymi przedmiotami, na które trzeba tylko praktycznie uważać, by się nie rozbiły, nie podarły, nie splamiły. Niejako odzyskały swój fizyczny ciężar i objętość, swoje materialne oblicze.

Autorka, zwąc Rapperswil „jedyną niepodległą twierdzą polskości”, zapomina o Bibliotece Polskiej w Paryżu.

<sup>44</sup> Muzeum było zamknięte od 1 VIII, rozpoczęto wtedy pakowanie zbiorów, które zapełniły 13 wagonów pociągu specjalnego do Warszawy.

O, po cóż je stamtąd zabrano, by pojechały na zatracenie w płonącej Warszawie! Czy ktokolwiek przeczuwał, że za kilkanaście lat...

Ale wtedy pisałam w radosnym upojeniu:

Jadą ze Szwajcarii do Polski, albowiem wypełnił się co do joty testament fundatora i rząd Rzeczypospolitej zabiera przekazany sobie spadek do kraju. Zamek raperswiliński ma wygląd klatki, z której ptak więziony wyleciał na wolność. Złożone do przewozu zbiory przywodzą na myśl więźnia, powracającego do domu, albo narzeczoną, jadącą na spotkanie oblubieńca...

Odwołałam się do decyzji dyrektora w nadziei, że jeszcze cokolwiek zobaczę w ten ostatni dzień, ale i ten był nieubłagany. Na pociechę podał mi tylko przez żelazną koronkę podwoi zamkowych komplet widokówek z fotografiami pamiątek i dziełko francuskie o Rapperswilu.

– Zobaczysz pani zbiory w Warszawie – obiecał.

Złożyło się tak, że nie zobaczyłam i już nie zobaczę!

Ano – „gość nie w porę gorzej Tatarzyna” – najlepiej zrobię, jeśli usunę się z tego zamąconego przybytku, który przestał być tym, czym był, w mrok lipowych gałęzi na wyniosły półwysp sterczący nad jeziorem. Przedtem pokłoniłam się jeszcze sercu Kościuszki, spoczywającemu w złocistej, okrągłej świątynce na podworcze zamkowe.

Białe mewy muskają skrzydłami z głuchym kwileniem nadbrzeżne szuwary. Ciszy książęcego parku nic nie ma. Uroczą godzinę myśli... Co oddaliby za taką szczęśliwą chwilę ci, którzy w znoju i goryczy, a jednak z ufnością składali ten polski skarb? Ten skrawek ziemi, co stał się przytulkiem łaskawym naszych pamiątek narodowych – „stary puchar, porzeźbiony krwawymi łzami ojców”, jak go nazwał Stefan Żeromski<sup>45</sup>, gorliwy pracownik muzeum raperswilińskiego, to było marzenie nie tylko o Polsce umarłej, ale i o Polsce żywej, jaka, wierzone, kiedyś będzie. Tu śnił Polak namiętny sen o zbiorowym posiadaniu, realizując go choćby w tak drobnych rozmiarach.

Pierwsza myśl stworzenia zbiorów pamiątek polskich za granicą zrodziła się w głowie nie Polaka, lecz szlachetnego wielbiciela Polski, bojownika za naszą wolność, przyjaciela Kościuszki – Franciszka Zeltnera<sup>46</sup>. Wówczas jednakże pozostać musiała jedynie niewcielonym marzeniem. Był w stanie zrealizować ją dopiero Władysław hrabia de Broel-Plater w roku 1870<sup>47</sup>, wydzierżawiając na ten cel od gminy miasta Rapperswilu stary zamek dawnych książąt de Rappertchwyll nad brzegiem jeziora Zurychskiego w kantonie St. Gall. Dzięki poparciu ówczesnego prezydenta miasta dr. Teodora Curti'ego<sup>48</sup>, sympatyka Polski, zawarto w r. 1869, czyli w rok

<sup>45</sup> Stefan Żeromski pracował jako bibliotekarz w Muzeum w Rapperswil w latach 1892–1896, wykonując tam szereg prac (systematyzowanie, katalogowanie, identyfikacja, porządkowanie zbiorów).

<sup>46</sup> Franz Zeltner (ur. 1764), senator Konfederacji Szwajcarskiej, komendant artylerii w Solurze. Głowa rodziny goszczącej Kościuszkę w Paryżu i w Solurze.

<sup>47</sup> Władysław Broel-Plater (1808–1889) dziennikarz i polityk emigracyjny, od 1844 r. mieszkaniec Szwajcarii, fundator Kolumny Barskiej (1868) i twórca Muzeum w Rapperswilu (1870).

<sup>48</sup> Teodor Curti (1848–1914) szwajcarski publicysta i polityk, urodzony w Rapperswilu.

po wzniesieniu kolumny Konfederacji Barskiej pierwszy, bardzo korzystny układ, mocą którego fundator i jego spadkobiercy stali się panami wewnętrznej części zamku na lat dziewięćdziesiąt dziewięć za opłatą stu franków szwajcarskich rocznie pod warunkiem przyjęcia na siebie kosztów odnowienia budowli i utrzymania jej w dobrym stanie.

Mieszkańcy miasta, które liczyło wówczas nie więcej jak trzysta rodzin, mieli wolny wstęp do polskiego muzeum. Aktem fundacyjnym z dnia 14 kwietnia 1881 hrabia Plater uczynił zakład raperswilski własnością narodu polskiego i powierzył go pieczy specjalnego komitetu, aż do momentu, kiedy – jak zaznaczono wyraźnie w tekście aktu – zbiory przejdą w posiadanie rządu Polski niepodległej.

Zamknijmy oczy na ciemną kartę w dziejach Rapperswilu, która mogłaby dać przepyszny temat autorowi... komedii lub operetki – na owe sztucznie fabrykowane „pamiątki”, jakimi obłudna chciwość i maniackie kłamstwo mydliły oczy opiekunom muzeum, igrając zuchwale na najświętszym pietyzmie łatwowiernego idealizmu. Znieważona świątynia przeszłości zdołała się oczyścić z narzuconej jej tandety, sąd honorowy wykazał winnych, rzetelne pamiątki przeszły próbę ogniową, a aferę raperswilską przyprószył pył czasu. Pozostała jednak pamięć o bystrości umysłu i czystości rąk Stefana Żeromskiego, który tę haniebną aferę odkrył i zrezygnował ze swego stanowiska ze szkodą dla swego zdrowia i bytu materialnego<sup>49</sup>.

Patrząc na zwijanie tego siedliska polskiej myśli narodowej, czułam – mimo radości z powrotu jego skarbów do kraju – jakiś żal... Żal tej cichej i niewojennej warowni, która strzegła na obczyźnie polskiego imienia, była przystanią, oazą wytchnienia dla rodaków-tułaczy, głosiła obcym sławę i chwałę Polski, gdy jej na mapie Europy nie było. Muzeum tu, w Szwajcarii, jedyne, wyjątkowe – myślałam – będzie w kraju jednym z wielu...

Po zabraniu zbiorów do Warszawy zamek raperswilski, będący w dalszej dzierżawie rządu polskiego, mieścił przed drugą wojną wystawę polskiej twórczości i wytwórczości współczesnej. A teraz? Nie wiem, czy znajduje się w polskich rękach i czym go zapełniono. Pozostały jeszcze trzy lata do ukończenia dzierżawy...

## W POSZUKIWANIU UBOGICH

Przed jedną z bogatych wystaw sklepowych na rue du Rhône w Genewie przystąpiła do mnie niemodnie ubrana staruszka z tajemniczym uśmiechem i zaproponowała mi kupno drobnych robótek szydełkowych. Miała dość bujny zarost na twarzy, jak wszystkie stare Szwajcarki, pogięty kapelusz i rozdeptane trzewiki.

Zauważyłam, że cena drobiazgów, sprzedawanych przez przygodną handlarkę, była zbyt wysoka. Ale stara dodała z westchnieniem: *Par charité*. Kupiłam za półtora franka biały płatek do mycia, przyglądając się z zajęciem, a nawet pewnym,

<sup>49</sup> Nawiązania do pracy Stefana Żeromskiego, jego rzetelności w katalogowaniu zbiorów (w tym – falsyfikatów) i długotrwałego konfliktu Żeromskiego z jego zwierzchnikiem, kustoszem Włodzimierzem Rużyckim oraz dyrektorem Józefem Gałęzowskim. Żeromski zrezygnował z pracy w Rapperswil w lecie 1896 r.

zgoła nieuzasadnionym zadowoleniem ubogiej kobiecie, której twarz ze śladami minionej piękności i pewne usiłowania nadania pozorów elegancji nędzemu ubrani pozwalały się domyślać lepszej przeszłości. Sympatia moja pochodziła stąd, że starowinka ta stanowiła przedmiot, z trudem przeze mnie w Szwajcarii poszukiwany: była pierwszym spotkanym ubogim, jedyną osobą, która w czasie mego dwumiesięcznego pobytu w tym szczęśliwym kraju prosiła mnie o pomoc.

Żebrać na ulicy w Szwajcarii nie wolno (u nas wtedy roiło się jeszcze od żebraków pod kościołami, na odpustach i jarmarkach, po domach snuli się bez przeszkody rozmaici włóczędzy). W Szwajcarii żebrak traktowany był jak przestępca i dostawał się do więzienia. Nie widać tam było na rogach ulic jęczących, skulonych kalek, nie wałęsały się po mieście obdarte, bose dzieci. Było wszędzie czysto, wytwornie, ozdobnie... Obserwując to składne życie, które toczyło się usystematyzowanym trybem, jak genewski zegarek – zapominało się wprost, że gdzieś na świecie drży z zimna wychudła nędza i namówiona przez głód, brata się z występkiem.

A wszakże opieka nad biednymi stanowiła przedmiot mojego głównego zainteresowania, po to tu przyjechałam, by ją badać. Studia rozpocząłam od strony teoretycznej. Wybiegłszy z uliczki St. Ours, mijałam park uniwersytecki, otaczający gmach wszechnicy, pograżałam się codziennie w ciszy wielkiej biblioteki akademickiej i korzystałam z magazynu mądrości, na który złożyły się mózgi prawie wszystkich kulturalnych narodów. Uczylałam się historii i geografii Szwajcarii, poznawałam jej ustrój, a przede wszystkim rozwój, system i stan opieki społecznej.

Było to celowe, ale dzisiaj widzę, że zorganizowane niepraktycznie. Te studia można było doskonale przeprowadzić we Lwowie, mając pod bokiem bogatą Bibliotekę Ossolineum. Zamiast ślęczeć w Genewie godzinami nad książkami w językach obcych, mogłam raczej chodzić, zwiedzać, patrzeć, słuchać. Ja zaś przygotowanie do podróży w kraju ograniczyłam tylko do lekcji konwersacji francuskiej i niemieckiej.

Nie zaniedbywałam zresztą i zwiedzania, szukając przede wszystkim zakładów opieki społecznej. Zadanie łatwe i trudne zarazem. Szwajcaria ma tak uregulowane życie, że przychodzi się wszędzie do gotowego, nic się tam nie staje, ale po prostu jest.

Domy dziecka, ochronki, zakłady poprawcze, schroniska dla starców, szpitale – znajdują się zazwyczaj za miastem, w otoczeniu zieleni, w ciszy i spokoju. Wyprawałam się więc w odludne okolice miast i szukałam na własną rękę, nie spotykając po drodze żywego ducha, aby móc zapytać, gdzie skryły się owe zaczarowane siedliska, które chronią nieszczęśliwych przed nędzą, tułaczką, opuszczeniem. Były to istne pałace, salony, imponowały mi bogactwem urządzeń, czystością, higieną, rozmiarami.

– Może to grzech tak mówić, ale tu jest tak pięknie, że musi być przyjemnie chorować! – takie zdanie, rzucone po polsku, usłyszałam w szpitalu kantonalnym w Genewie, który zwiedzałam razem z uczestniczkami międzynarodowego kongresu pielęgniarek, odbywającego się w r. 1927. Zjechało tu na trzy dni tysiąc pie-

łęgniarek z całego świata na wezwanie „The International Council of Nurses”<sup>50</sup> w Londynie, federacji światowej, łączącej dziewiętnaście różnojęzycznych stowarzyszeń i liczącej razem 120 tysięcy członków. Rozsypały się po mieście samarytanki w habitach zakonnych i krótkich, modnych sukienkach, w białych płaszczach szpitalnych i kostiumach sanitariuszek wszelakiej barwy, formy i pochodzenia. Siostry miłosierdzia Anglii, Francji, Austrii, Niemiec, Danii, Belgii, Holandii, Węgier, Italii, Czechosłowacji, Rumunii, Stanów Zjednoczonych, Kanady, południowej Afryki, Nowej Zelandii, Jawy... Zalały, zasypały sobą całą Genewę, jak mrówki, wszędzie ich było pełno. Skrzyżowały się z sobą w tym kotłownisku wszystkie języki.

W wielkiej *Salle Centrale* upstrzonej orgią barw całego świata objęła królowanie sędziwa angielska *mistress*, prezydentka kongresu, potrząsając potężnym czarnym kapeluszem, uzbrojonym w kitę kwiatów koloru pomarańczy. Cierpliwie zgodziła się sala na przewodnictwo, narzucone jej w dyplomatyczny sposób przez 70-letnią sufrażystkę. Mniej cierpliwości objawiły uczestniczki, słuchając fachowych referatów, każdego w trzech językach.

Z radością zawarłam znajomość z Polkami, których przyjechało dwanaście. Uwaga rodaczki o szpitalu była trafna. Wszędzie biało, przestronnie, lśniaco, świeżo. Na wielkiej werandzie chorzy łykają pełną piersią słońce i powietrze, płynące ku nim bujną falą od drzew i kwiatów w ogrodzie.

Wieczorem wystąpiła Genewa z rautem na cześć siostrzyczek kongresowych w gmachu teatru. Scena i widownia spały snem letnim, lecz sala recepcyjna, foyer i kuluary dyszały ściskiem i grały szumem miliona słów różnolitego brzmienia. Świetne stroje balowe, dekolty, pokorne bluzeczki podróżne, kornety klasztorne i szpitalne kapturki... Twarze rozmaitych ras: młode, przywidłe i stare, dużo brzydkich, trochę ładnych, pięknych prawie nie znalazłam. Ale każdą z nich rozjaśniał jakiś promień wewnętrznej pogody i dobroci, który osiadł w powadze czoła, w błysku spojrzenia, w kącikach uśmiechu. Bo to były te, których terenem działania, warsztatem pracy stało się cudze cierpienie...

Nie z ziemi tylko czerpie kraj swą energią gospodarczą; czynnik pierwszorzędnym majątku narodowego Szwajcarii, to ludność. Bogactwem ekonomicznym kraju są ludzie.

Taką złotą myśl wyczytałam w jednym z rozdziałów dzieła *La Suisse économique et sociale*, które pożyczył mi jeden z moich uprzejmych informatorów w Genewie. Przypatrując się w ciągu dwumiesięcznej podróży życiu tego małego, a tak umiejętnie zagospodarowanego kraiku, zwiedzając jego zakłady społeczne, miałam możliwość przekonać się, jak bardzo Szwajcaria to żywe bogactwo szanuje, jak pilnie stara się, aby nawet jego najmniejszy wartościowy okrusz się nie zmarnował.

Szukałam w tym kraju nędzy – i nie znalazłam jej. Nie tylko na wspaniałym wybrzeżu Quai du Mont Blanc, ale i w przedmiejskich zaułkach, dzielnicach ro-

<sup>50</sup> International Council of Nurses, założona w 1899 r. pierwsza międzynarodowa medyczna organizacja zawodowa, istniejąca do dziś i skupiająca organizacje ze 135 krajów. Jej siedzibą była i jest Genewa.

botniczych Genewy, Zurichu, Berna, Lozanny. Schludne, czystością i porządkiem tchnące budynki nie różnią się wiele od mieszkań „burżujów”, wesołe, zielenią przeplatane domeczki przypominają wille na uroczym letnisku. Ani po bruku nie uganijają zaniedbane dzieciaki, ani z okien nie bucha odór nędzy i niechlujstwa. Nie, nie tu mieszka bieda.

Ale przecież i w Szwajcarii istnieć muszą sieroty, poza nawias wyrzucone dzieci, które bije ojciec-pijak lub macocha-złoźnica, robotnice, zarabiające w pocie czoła na chleb dla nieślubnego dziecka, starcy niezabezpieczeni, a do roboty niezdolni. Wszakże i w tym bogatym kraju rodzą się, jak wszędzie niewidomi, głuchoniemi, idioci, mogą i tu istnieć jednostki, noszące już od wczesnych lat wskutek kalectwa fizycznego, umysłowego czy moralnego stygmat człowieka niepełnego, niedorośłego do przeciętnego poziomu. Tych rozbitków życiowych szukajmy nie na ulicy, tylko w zakładach. Ani ten, któremu natura odmówiła pełnej władzy zmysłów, czy zdolności pojmowania, ani ten, co wskutek zaniedbania rodziców lub jakichś innych przyczyn zeszedł na moralne bezdroża – nie jest w tym cudnym, a tak humanitarnie rządzonym kraju uważany za zbyt ciężki ciężar, za materiał ludzki całkowicie niezdatny.

Rzecz zdumiewająca, do jakiego stopnia ceni Szwajcaria każde człowiecze istnienie, choćby najmarniejsze, jakie sumy łoży, aby je sprowadzić na właściwe tory. Aby naprawiać błędy, uzupełniać braki, leczyć niedomagania, a kalectwa, niedające się usunąć, wyposażyć w nowe wartości. Ciężka, ale szlachetna i niedaremna praca. Zakłady, gdzie się ona odbywa, nie są to zazwyczaj wielkie instytucje, obliczone na masowe wychowywanie. Nie widać w nich ani śladu systemu skoszarowania, tryumfuje w całej pełni zasada indywidualizmu, a hasło znakomitego syna Szwajcarii, Pestalozzi’ego: „Szkoła ma być rodziną”, znajduje najpiękniejsze i najrozumniejsze zastosowanie<sup>51</sup>. Przy tym dobroczynność nie ma posmaku żebraniiny, która ludzi upokarza i wykoleja. Wszystkie miejsca w zakładach są płatne, wszyscy wychowankowie traktowani na równi. Za kogo płacić nie mogą rodzice, tego bierze w opiekę i łoży na jego wychowanie gmina, towarzystwo dobroczynne, parafia, a choćby jakaś miłosierna osoba. Nikt nie zostaje bez ratunku, żaden zakład nie jest zbyt drogi.

Bieluchne łóżeczka, po trzy w każdym pokoiku, obok miłych mebelków w zakładzie dla sierot w Zurichu, przypominają mieszkanie pieszczonej dziatwy w bogatym domu. W schronisku Pinchat koło Genewy każda z dorastających wychowanek posiada nawet własny, oddzielny pokoik. W ogrodzie pełnym kwiatów, kryjącym dostatnie urządzone przytulisko, grzeją się w słońcu uśmiechnięci starszowie, kiedy się nudzą zimową porą, przyjeżdżają do nich artyści z Genewy i urządzają wyłącznie dla nich ucieszne widowiska. W głębi łąk i lasów w rozkosznych dworkach pracują w kuchni, ogrodzie i oborze dziewczęta, oddane „na poprawę”.

---

<sup>51</sup> Johann Heinrich Pestalozzi (1746–1827) szwajcarski pedagog i pisarz, nazywany „ojcem szkoły ludowej”.

Zamożność i ład panujący w kraju, pozwala każdą instytucję wyposażać dostojnie, wygodnie, estetycznie, nawet z pewną dozą komfortu. Widziałam tylko jeden dom sierocy, zarządzony prawie z ascetyczną prostotą. Kierowniczka, oprowadzając mnie po skromnych, bardzo czystych izdebkach, rzekła szczerze: *Ganz primitiv!*<sup>52</sup>

Między innymi zwiedziłam zakład dla dzieci niedorozwiniętych w Zurichu. Matki, które urodziły słabe, anemiczne niemowlęta, przynoszą je na cały dzień z zaufaniem i nadzieją, że się rozwiną i będą żyły. Fachowo wykształcone pielęgniarki czuwają nad zdrowiem małych pacjentów stosując w umiejętny sposób słońce, powietrze, specjalne odżywianie, aż dziecię nabierze ciała, krwi i sił, po czym zostaje zwrócone szczęśliwej matce. Spotkałam się tam nawet z opinią lekarza, że niedorozwój umysłu ma często źródło w niedomogach fizycznych. Gdy wzmocni się ciało, zaczyna się normalnie rozwijać i umysł.

Domy dziecięce w Szwajcarii – to małe raiki, których poznanie nastraja pogodą i szczerym optymizmem wobec wszelkiej pracy społecznej. A jednak zwiedzanie ich nie należy do zadań łatwych. Nie dlatego, by przybysz natrafiał na przeszkodę. Szwajcarzy są tak uprzejmi, tak spokojnie dokładni w informowaniu gości, tak lubią pokazywać im wszystko, z czego mogą być dumni!

Ale właśnie ta świetna ich organizacja przedstawia nie lada orzech do zgryzienia, zanim się cudzoziemiec z nią nie oswoi. Wszakże federacja szwajcarska to dwadzieścia pięć republik odrębnych, zorganizowanych samodzielnie, żyjących w swym zamkniętym światku bez wzajemnego podglądania się i kontrolowania w tych rzeczach, które wychodzą poza obręb wspólnej polityki i administracji. Nigdzie z równą słusnością, jak tutaj, przytoczyć nie można przysłowia: „Czyń każdy w swoim kółku, co każe duch Boży, a całość sama się złoży”.

Centralizacja nie leży w charakterze Szwajcarii. Trzeba by objechać wszystkie kantony, odwiedzić każdą gminę, obejrzeć wszystkie instytucje publiczne i prywatne, aby mieć obraz tego, co robi Szwajcaria w zakresie opieki społecznej. Niezbyt łatwo nawet zaczerpnąć ogólnych informacji. Kółka i kółeczka maszyny informacyjnej idą swoim codziennym, uregulowanym trybem, że nie dojrzysz nitki ich wzajemnego związku. Jak w tkaninie gotowej, misternie wykonanej trudniej dopatrzeć się wątku, niż w krosnach, gdzie po osnowie biega czółenko tkacza...

Z niemałym nakładem pracy szukałam z początkiem podróży jakiejś centrali, która wskazałaby mi adresy godnych widzenia zakładów. Każdy kanton ma swoje, każda gmina ma swoje – a prócz tego żyje, rozwija się i kwitnie masa instytucji prywatnych poza nawiasem urzędowych rejestrów. Szukać w wykazie Wilda *Prévoyance sociale en Suisse*<sup>53</sup>, to zagłębić się beznadziejnie w dżunglę. A gdy się zwrócisz do kogoś z urzędowych osób, powie ci tylko tyle, ile obejmuje przydzielony mu dział i po grzecznej rozmowie odeśle cię z bilecikiem do innej osobistości.

<sup>52</sup> Niem.: Całkiem prymitywnie.

<sup>53</sup> Mowa o pracy Alberta Wilda, wydanej równocześnie po francusku i niemiecku. *Söziale Fürsorge in der Schweiz, Prévoyance sociale en Suisse*, Zurich 1919.

Mając dość tych wywiadów, zaczęłam „odkrywać” Szwajcarię na własną rękę. Gdzieś na krańcach zamiejskich alei, za szpalerami żywopłotów, gdzieś pomiędzy miastem a wsią, między górą a doliną, między lasem a łąką, przy drodze odludnej, choć gładkim asfaltem lśniącej, gdzie nawet o przechodnia trudno, trzeba było szukać owych radosnych rezydencji. Jakże oplaca się trud szukania, kiedy się dotrze do celu!

W cieniu wielkiego dębu przed małym domeczkiem swawoli na trawniku stadko rozbrykanych dzieciaków. Migają w biegu bose, ołożone pieszczołą słońca nóżki, powietrze rozdziera raz po raz chichotliwy pisk małych, gonionych przez chłopaków dziewczynek. Opodał, na puszystej łące kilka białych plam wózczków niemowlęcych, za którymi sunie cicho cień troskliwej pielęgniarki.

Jesteśmy we wzorowej twierdzy antygruźliczej, w Preventorium de la Chapelle pod Genewą. Biały dworek stał się dla rozweselonej, zgoła istnienia swego wroga nieprzeczuwającej diatwy – domem rodzinnym. Rozumni rodzice, wiedząc, że tocząca ich samych choroba może każdej chwili sięgnąć po życie dziecka, zgadzają się na rozłąkę. Przyjmowane są do zakładu tylko dzieci wolne od gruźlicy. Odpowiednio stosowana kwarantanna daje rękojmię zdrowia, specjalne iniekcje i lekarstwa wzmagają odporność w pierwszym okresie. Resztę, a raczej główną część zapobiegania chorobie powierza się słońcu, czystemu powietrzu, płynącemu z gór Salève przez otwarte okna bez względu na porę roku, mleku alpejskich krów, swobodnemu ruchowi na kwiecistych łąkach.

Wyruszmy w inną stronę poza Genewę do Frontenex, a zainteresuje nas piękna willa z otwartą werandą i wielkim trawnikiem, okolonym szpalerem róż pnących, w jakie Szwajcaria lubi stroić swe domy. Znowu przystań dziecięca, nazwana poetycznie „Promieniem Słońca” – i znowu rzesza małych, półnagich ciał, osmalonych w kąpeli słonecznej na kolor pomarańczy. Tu nabierają sił dzieci niezagrożone gruźlicą, ale wątłe z natury, w wieku od trzech do sześciu lat. Pobyt w zakładzie jest płatny, ale korzystają zeń zarówno dzieci rodziców bogatych, jak ubogich. Ustanowiono dwie taksy – w ten sposób, aby zapłata zamożnych pokryła utrzymanie biedoty, dla której głównie założone zostało to świetlane schronisko.

To wszystko przeznaczone jest dla dzieci zdrowych. Dla noszących już w sobie zaród gruźlicy istnieją specjalne lecznice, urządzone ze szczególnym staraniem i znanstwem. Wiadomo wszakże, że dla zwalczania epidemii gruźlicy największe znaczenie społeczne ma nie leczenie chorych, lecz zapobieganiu zakażeniu zdrowych jednostek. Akcja ta rozwinięta jest w Szwajcarii na wielką skalę. Każdy kanton ma swoją ligę przeciwtyberkuliczną, która organizuje poradnie, wykłady w mieście i na wsi, ambulatoria, kolonie wakacyjne, szkoły na wolnym powietrzu itd. Zaskakująco rozgałęziona jest sieć ewidencyjna. Wszystkie towarzystwa i ligi podają sobie ręce i działają w porozumieniu, a ustawodawstwo przychodzi im z pomocą.

Przypatrując się tak wzmożonej pracy, zadajemy sobie pytanie, czy jest ona aż do tego stopnia konieczna? Czyżby gruźlica zatoczyła tak szerokie kręgi w tej górzystej, słonecznej, zielonej, czystej Szwajcarii?

Niestety, tak – przynajmniej tak było przed laty. Może to po części wpływ nieustannego najazdu chorych cudzoziemców, może alkoholizmu... Nie spotyka się tam wprowadzie na ulicy pijanych, ale podobno pijaństwo jest wśród Szwajcarów nałogiem bardzo rozpowszechnionym. Ludność kraju posiadającego obfitość wina czy innego trunku zawierającego alkohol, zazwyczaj pije. Ale i alkoholizm spotyka się z zażartą walką ze strony społeczeństwa. Istnieją ligi antyalkoholowe, restauracje abstynenckie, zakłady lecznicze dla nałogowców. Zło trafia na silny, jednolity front i traci swą siłę<sup>54</sup>.

W zakresie opieki nad dziećmi i młodzieżą ogromne zasługi posiada instytucja Pro Juventute<sup>55</sup>, której działalność obejmuje całą Szwajcarię, a sieć organizacyjna jest zdumiewająca. Generalny sekretariat mieści się w Zurichu, we wszystkich większych miastach istnieją oddziały, a w każdej najmniejszej wiosce pracuje uprawniony sekretarz instytucji. Taki mąż zaufania bierze na swoją głowę całkowitą odpowiedzialność za wszystko, co w danej miejscowości robi Pro Juventute. Wie o każdym opuszczonym dziecku, o każdej potrzebującej matce. Rozdziela zapomogi, odsyła młodzież do zakładów wychowawczych, domów poprawczych, na kolonie wakacyjne, rozdaje książki, wspomaga radą, kieruje propagandą. Bo właśnie to wszystko wchodzi w zakres działania olbrzymiej fundacji.

Pro Juventute – istny potentat finansowy, ciągnie swe dochody głównie z wydawnictw specjalnych znaczków pocztowych, sprzedawanych na mocy umowy z władzami po cenach nieco wyższych niż zwyczajne, artystycznych kart korespondencyjnych, telegramów ozdobnych itp. Zyski liczą się na miliony i corocznie wzrastają. Jedyne to może w Szwajcarii przykłady centralizacji, ale i ta instytucja rozbita jest doskonale na sprawne kółka i kółeczka. Dociera w każdy kąt, zbiera najdrobniejszy grosz i tworzy zeń skarb, którym wszystkich obdzielić potrafi.

W swe schroniska dla ubogich, zakłady dla kalek, szpitale, sanatoria, prewentoria włożyła Szwajcaria nieobliczalny zasób kapitału, umiejętności organizacyjnej, wiedzy społecznej i pedagogicznej, zmysłu estetycznego i – serca. Rozgałęziona sieć ewidencyjna daje pewność, że żaden wykołajeniec nie ujdzie oka opiekunów – a zwłaszcza opiekunek. Jeśli zaś znajdzie się przypadkiem jakaś jednostka zapomniana lub uchylająca się dobrowolnie od korzystania z tej pomocy – nie będzie to na pewno ginący z głodu żebrak, który chępi się swym potwornym kalectwem. Będzie to tylko tajemnicza staruszka, sprzedająca na ulicy z pogodnym uśmiechem szydełkowe płatki.

Byłam tym wszystkim oczarowana. Myśl moja leciała mimo woli daleko, daleko poza szwajcarskie góry i winnice, na północny wschód – i zatrzymywała się u brudnych okienek suterrenowych, gdzie na barłogach leżą istoty wychudłe, skazane na śmierć przedwczesną i zapytywała z przykrością: „A u nas?”.

<sup>54</sup> W ramach walki z alkoholizmem na początku XX w. wprowadzono w Szwajcarii konstytucyjny zakaz produkcji i spożywania absyntu, zniesiony dopiero w 2005 r.

<sup>55</sup> Dosłownie: Dla Młodości, organizacja charytatywna w Szwajcarii, utworzona w 1912 r., działająca na rzecz praw dzieci i młodzieży.

Byli wtedy i u nas ludzie dobrej woli, istniały organizacje, walczące z przemocą nędzy, epidemii, ciemnoty, występku, istniały zaczątki publicznej opieki społecznej, ale równać się jeszcze nie mogły ze zdobyczami kraju starego cywilizacją, zadowolonego, cieszącego się całe wieki wolnością i pokojem. Działo się to w czasach, kiedy samodzielne życie Polski po rozbiorach nie liczyło jeszcze nawet dziesiątka lat, kiedy zrastały się w całość tak rozmaicie bytujące dzielnice, scalało się różnolite ustawodawstwo, kiedy ledwie zaleczyły się rany, zadane przez pierwszą wojnę światową. Szwajcaria bogata, ustabilizowana, nieznaną od wieków wojny, urządzona dostatnio - była naprawdę wzorem dla Polski młodej, borykającej się z nędzą mas ludności, z brakiem pieniędzy, trudnościami organizacji.

Wszystko, co się u nas działo, można było nazwać próbą, eksperymentem, początkiem. Opieka społeczna zakładana w trzech dzielnicach po rządach zaborczych, w których wcale nie stała na wysokim poziomie wydobywała się ledwie z powijaków. Byłoby niezmiernie ciekawe porównanie jej ze Szwajcarią dzisiaj, kiedy w tej dziedzinie organizacji socjalnej mamy już osiągnięcia tak wielkie, i tak powszechne.

### TWARZE I DUSZE MIAST SZWAJCARSKICH

Czy miasta mają dusze? O, niezawodnie! Miasto to zbiorowy człowiek. Matką jego jest ziemia, ojcem historia. Ciało jego zbudowane z kamieni, cegieł, drewna, dachówki, blachy, żywych drzew byłoby martwe, gdyby go nie ożywiała wspólna emanacja serc i intelektów zamieszkałych w nim ludzi, gdyby w jego żyłach nie pulsował nieustanny ruch przelewającego się życia, gdyby nad jego powierzchnią nie unosiło się coś nieuchwytnego i niewidzialnego, co nadaje mu charakter i tworzy nastrój.

Dostrzec i odróżnić go nie zawsze umiemy ci, którzy w nim mieszkają. Czyje życie wplotło się w tryby toczącego się koła jakiegoś środowiska, ten nie słyszy jego warkotu i nie widzi barwy oparu, jaki się nad nim unosi. Sam stał się jednym z pyłków, nadających mu barwę.

Inaczej czuje obcy wędrowiec. Ten objąwszy z daleka sylwetkę miasta pierwszym spojrzeniem, chwytą w błyskawicznym skrócie jego zasadnicze rysy. Zanurzony w obcą atmosferę, rozróżnia jej zapach, słyszy najgłośniejszy ton, spozstrzega kolor życia miasta, wyczuwa jego rytm.

I z miejsca mówi: „lubię” – albo „nie lubię”.

Jeżeli ta odruchowa sympatia lub antypatia zamieni się z czasem w trwałą stosunek, rozlewa się to impulsywne wrażenie w masie szczegółów, zanika w bezbarwnej terażniejszości. Nie ma już siły i uroku pierwszego spotkania chyba, że utonie później w niepowrotnej fali czasu minionego.

Spojrzenie na nieznanie miasto to poemat refleksów, przeczuwanych uczuć i sugestywnych wrażeń. Z twarzy jego wygląda zaduma, gniew, czy majestat dalekiego wczoraj, pośpiech, troska i uśmiech chwili dzisiejszej i marzenie o jutrze. Podnosząc oczy na wieżę, czynisz to nie dla sprawdzenia dokład-

ności zegarka, ale sięgasz głęboko w jej zaranie, pytasz ją, na co patrzyła i dlaczego jest taką, a nie inną. W ratuszu szukasz stylu i śladów przeszłości, a nie biura podatkowego. W twarzach przechodniów nie wypatrujesz znajomych, aby ich powitać szablonem: „co słycać?”, lecz badasz, jak wyglądają, chodzą, mówią, pracują.

Pytasz, a miasto ci odpowiada. I nawiązuje się podświadomy kontakt między przybyszem a duszą miasta. Nie wie ono o tej rozmowie, nie potrzebuje jej, ani pamięta. Tyle już istnień ludzkich wchłonęło, a może i na proch starło... Ale człowiek nie zapomni takiej twórczej godziny, kolorowej od tęczy wrażeń, ważkiej od ciężaru nowych myśli, jak owocne grono.

Zwiedzając miasta Szwajcarii, odległe zaledwie o parę godzin drogi od siebie, mamy możność obserwować, jak dalece odrębność życia oddaliła je od siebie zewnętrzną fizjonomią i wewnętrznym charakterem. Każde z nich tworzy oddzielną całość, każde opowiada ustami pamiętek bieg swoich starych dziejów, a różnym tempem życia terażniejszego wyraża indywidualny sposób przyjmowania nowoczesności. Wygodnie jest kupić przewodnik i jego oczyma patrzeć na osobliwości miasta, skatalogowane sumiennie, ponumerowane. Ale stokroć milej i ciekawiej, chociaż trudniej, pozwolić najpierw mówić murom i ulicom, a później zwierzenia te odczytać słowo w słowo w tym czy innym Baedekerze. Miasta szwajcarskie są tak szczerze, tak wyraziste w swych obliczach, a tak zajmująco opowiadają.

Opowieści ich sięgają czasem w złoty okres patrycjatu (wiek XVII–XVIII), który był początkiem nowej ery cywilizacji Szwajcarii, czasem bieżną po tajemnicę rycerskiego barbarzyństwa, jeżeli nie gubią się w chaosie wędrówek ludów i przejścia świetnej starożytności w ponure średniowiecze. Taka Genewa pamięta rzymskich cesarów; Lozanna posiada katedrę, już przebudowaną w czasach, gdy Polska dopiero otrząsać się z pogaństwa poczyniała, a przy niej arcyciekawe muzeum średniowiecznych zabytków, w którym mógłby się z miejsca rozgościć rycerz dawnych wieków, gdyby ujrzał umeblowane komnaty, salony, sypialnie, kuchnię, izbę tortur nawet – wszystkie pełne sprzętów, naczyń i przyrządów, częstokroć dla nas dziś zgoła niezrozumiałych.

Lucerna chlubi się swym przedziwnym mostem – galerią obrazów, lwem śpiącym w skale kowanym, wałem murów obronnych na stromym wzgórzu. Czyż nie mówią one więcej, niż przewodniki?

Wyrazista jest nie mniej mowa życia pulsującego w miastach z indywidualną szybkością i na odmienną modłę. Przelewa się ono bujnym, wciąż zmieniającym się tętnem międzynarodowych aktualizmów w Genewie, tryska wzwyż promieniem bogatej umysłowości w Zurichu, toczy się spokojnym kołem kupieckiego żywota w staroniemieckim Bernie, splata żywą barwą terażniejszości z cieniami czasów minionych w kolorowej Bazylei, oddycha ciszą błogiej kontemplacji w uroczej Lucernie.

Podziwiając tę świetną mozaikę tak różnorodnych środowisk, wybrałam dla każdego z tych miast symbol, który może je uosabiać. Genewa to wielki, międzynarodowy polityk. Zna wszystkie języki świata cywilizowanego, ma temperament

francuski, doskonały polor towarzyski i specjalny wdzięk uśmiechu, jaki nadaje jej urok Lemanu. Piękna Bazylea jest starym artystą z nawyczkami filistra, Berno to flegmatyczny burżuj z tradycjami dobrego, mieszczańskiego rodu. Zurich – uczony, nowoczesny w dobrze skrojonym fraku (w przeciwieństwie do Wilna, które niegdyś porównałam do filozofa o myślącej twarzy, zwichrzonej, posiwiałej czuprynie, ubranego w niemodne, zaniedbane ubranie i dziurawy płaszcz), Lozanna z sędziwą katedrą, królującą nad miastem, czyni wrażenie biskupa- myśliciela. Lucerna jest chyba kobietą, piękną choć starą kobietą z przeszłością burzliwą, lecz wzniosłą i cnotliwą...

Powiedział jeden z historyków Szwajcarii:

Nie ma zbieraniny bardziej dziwacznej nad widok Szwajcarii. Jest to mieszanina klimatów, obyczajów, zwyczajów i rządów – rzekłbyś: Grecja starożytna wywołana skinieniem różdżki czarodziej-skiej przed oczyma podróżnika. Sparta i Ateny nie były bardziej różne, niż dziś Berno i Zurich, również sąsiadujące ze sobą. Zurich – to Ateny Szwajcarii, o ile jakie miasto szwajcarskie może być Atenami.

Sąd ten wyraził jeden z kilkunastu pisarzy, którzy w r. 1858 złożyli się swymi pracami na ozdobne, w dwu tomach zawarte dzieło: *La Suisse historique et pittoresque*<sup>56</sup>. Po tylu latach spostrzeżenie to nie straciło aktualności, ale stało się może jeszcze trafniejszym wskutek nagłego rozrostu miast, z których każde rozwinęło się w innym, sobie właściwym kierunku.

Jeżeli chodzi o małe miasteczka, to każde z nich jest miniaturą wielkiego miasta pod względem wyglądu, porządku, stanu dróg, poszanowania zabytków oraz urządzeń nowoczesnych. Symbol miasteczek szwajcarskich uzmysłowić można w postaci człowieka niebogatego, na miernym stanowisku, lecz starannie ubranego, świadomego swych zadań, odpowiednio wykształconego.

Rozkwit cywilizacji miejskiej jest w Szwajcarii dziełem dopiero XIX wieku. Z końcem poprzedniego stulecia miała cała federacja nie więcej niż jedenaście gmin liczących ponad pięć tysięcy mieszkańców. Wzrost miast ma ścisły związek z rozkwitem handlu i przemysłu oraz ze spadkiem produkcji naturalnej po wsiach. Piękna, lecz jałowa ziemia nie może swych dzieci wyżywić. Ludność zmagająca się z ciężarem życia pasterskiego i rolniczego ucieka coraz liczniej z gór i zapełnia miasta elementem robotniczym. Objaw ten jako groźba zagłady charakteru Szwajcarii stał się już przed pół wiekiem przedmiotem poważnej troski sfer rządzących, publicystów i społeczników. Mnożyły się ankiety, komisje, artykuły w czasopismach – oczywiście bez skutku. Nielatwo iść przeciw prądowi, który zresztą powszechny jest i w innych krajach Europy.

Odmienne oblicza miast szwajcarskich idą w parze z indywidualnością typów ludzkich każdego kantonu. Prześlizgne, smagłe, o wielkich, zamyślonych oczach dzieci Genewy wyrastają na przeciętne, średniej urody typy francuskie. Chude chłopaki zurychskie o lisich twarzach i płowych czuprynach będą kiedyś flegmatycznymi obywatelami o wyglądzie niemieckiego burżuja. Porównać nie można twa-

<sup>56</sup> *La Suisse historique et pittoresque: description de ses vingt-deux cantons par le Mis. Lullin de Chateauvieux*, Paris 1858.

rzyczek bazylejskich niewiast, które od wieków słynęły z piękności z obliczami poczciwych, ale pozbawionych zgoła wdzięku Szwajczerek z Berna czy Lucerny, ani z pociągłymi rysami rozrosłych dziewcząt kantonu Vaud. Na ogół Szwajcarzy, z wyjątkiem mieszkańców niektórych okolic, nie są piękni. W ciągu przeszło dwumiesięcznego pobytu w tym kraju widziałam jednego tylko mężczyznę, wyróżniającego się wybitną, skończoną urodą. Ale ten ... był Polakiem. I poznałam jedyną, przeuroczą dziewczynę (oprócz panny Iwonki z Lozanny, której zresztą pięknością nazwać nie można). I ta była – także Polką!

Miasta naszego wieku są na ogół bezbarwne, białobrudno-szare. Zżyliśmy się z nimi, oko przyzwyczało się tak do anemicznego tonu murów, że każda śmielsza barwa występuje jaskrawo, a nawet razi.

Już od kilkudziesięciu lat ta obawa przed kolorami powoli się przełamuje. Prąd ten objawił się najpierw na Zachodzie. Stwierdzono, że domy w dawnych czasach grały pełnią mocnych barw i zaczęto tęsknić do ożywienia fizjonomii miast malowanymi fasadami, freskami na murach, barwnymi dachami i okiennicami. Zwrot ten wyszedł z Niemiec, a datuje się od roku 1920. W Hamburgu powstało towarzystwo Bund zur Förderung der Farbe in den Stadtbild, które podjęło propagandę stworzenia miast kolorowych, pracując zarazem nad tym, by wszelkie zmiany wprowadzane były pod kierunkiem artystycznym, z zachowaniem wymogów estetyki oraz utrzymaniem właściwego charakteru miasta, dzielnicy, ulicy. Zadanie to niełatwe, a hasło nawet niebezpieczne. Ze spokojnej szarości, niezbyt wdzięcznej, ale i nie bijącej się z poczuciem smaku, można by wpaść w krzykliwą pstrokaciznę, w jaką zlewałyby się niejednolite wyrazy gustu obywateli miasta – zwłaszcza tam, gdzie wszystkie domy są własnością prywatną – gdyby ich nie ujęto w harmonijną całość.

Zaczęto więc organizować konkursy, ankiety, wystawy projektów, założono w Hamburgu miesięcznik „Die Farbige Stadt”, zainteresowano tym zagadnieniem szkoły budownictwa, rzemiosł artystycznych i akademie sztuk pięknych w Niemczech<sup>57</sup>.

Właśnie w czasie pobytu mego w Zurichu natrafiłam na ciekawą wystawę pt. „Kolorowe miasto” urządzoną w gmachu szkoły rzemiosł artystycznych przy Landesmuseum. Zgromadzono tam bardzo śmiałe pomysły ubarwienia domów, ulic i całych dzielnic Zurichu. Przeważały kolory: pomarańczowy, zielony, malinowy, szafirowy, ciemnożółty. Mimo że plamy te płonęły żywymi barwami, utrzymano je w tonie matowym, pastelowym, przeważnie ciemnym – może nawet zbyt ciemnym. Wystawa zawierała także reprodukcje zrealizowanych już prób w Hamburgu, Altonie, Frankfurt nad Menem, Gdańsku. Niektóre naprawdę bardzo szczęśliwe. Domy te starła na proch druga wojna, ale niezawodnie przy odbudowie myśl ożywienia miast kolorami zmartwychwstała. Przejawia się wszakże i u nas, przynajmniej w malowaniu futryn okiennych i balkonów.

<sup>57</sup> Nieścisłość autorki: wydawnictwo *Die farbige Stadt: Ausstellung, 31 Juli–11 September 1927* wydane było w 1927 r. w Zurichu, nie w Hamburgu.

Jedno z najtrudniejszych zagadnień w kwestii barwnego miasta stanowi problem trwałości farb używanych przy kolorowaniu domów. Podobno niektóre przemalowane na nową modłę miasta niemieckie już po kilku latach spłowiwały. Pamiętam, jak szybko straciły barwy pełne wigoru malowidła Zofii Stryjeńskiej na starym Rynku Warszawy<sup>58</sup>, obserwujemy z przykrością coraz bardziej wyblakłe balkony naszych nowych bloków... Majstrowie średniowiecza lepiej znali tajemnice trwałości farb.

Oglądałam w Bazylei przepyszny stary ratusz, cały malowany świetną czerwoną barwą, na której błyszczały fantastyczne złote smoki. Przypuszczam, że malowidło to jest także zabytkiem. Stanowi ono dla hasła polichromii znakomity środek propagandowy. Kto widział te świetne próby ubarwienia miast i odczuł żywe ich piękno, patrzy później z niechęcią na szeregi pospolitych domów, białe tynkowane, a bardzo rzadko czystych. Wyglądają one na wspomnienie kolorowych mdło, anemicznie, nieciekawie – gorzej jeszcze, czynią wrażenie ludzi ubranych w brudną bieliznę obok wystrojonych w piękne toalety.

Gdybyśmy chcieli każdy kraj usymbolizować w jednym znaku, który by najwymowniej reprezentował jego charakter – to Szwajcarię mógłby wyobrażać mały, złoty zegarek. Czy dlatego, że produkuje ona celująco te subtelne, wiecznie czynne karzelki, z których każdy, choć martwy, staje się przecież jakoby żywą istotą, przyjacielem człowieka? Nie dlatego – chociaż zegar w Szwajcarii wszędzie rzuca się w oczy, wszędzie go pełno. Od lśniących brylantami zegarków-ziarenek na wystawie jubilera do poważnego oblicza zegara-samotnika na wiejskim kościele, zapatrzonego w szczyty Alp.

Każdy śpiewa inaczej. Ten słodko nuci bajeczną opowieść kurantową, tamten z fantazją skanduje uderzenia dzwonu, inny strąca powoli, surowo godziny w otchłań przeszłości, jak gdyby każdej chciał poświęcić parę sekund głębokiego namysłu, a jeszcze inny woli o nich nie myśleć, ale trzepie je szybko, szybko, do jutra, do jutra... Ten w pokoju nad pamiątkowym kołowrotkiem bawi się jeszcze staroświecką kukułką, a tamten w parku – śmieszne stworzenie! – posuwa ostrożnie swoje pajęczce łapki po wystrzyżonym misternie w cyfry klombie kwiatowym, na wyścigi z archaicznym cieniem pałeczki zegara słonecznego na wieży. Są tu i takie.

Te gorliwe, natrętne napomnienia stróżów czasu nie padają tu w próżnię. Wszystko w tym kraju odbywa się według zegarka, wszystko jest przewidziane, we właściwe koryto wpuszczone, wszystko ma swoją porę, swoje miejsce, swoje ramy.

I dlatego kraj zegarów zdaje mi się być sam jednym, znakomicie zmontowanym zegarkiem, włożonym w złotą oprawę. Nie tylko ze względu na swą harmonię organizacyjną, ale i na jej polityczny stosunek, a raczej brak osobistego ustosunkowania się do niezrównoważonych potęg. Podobno publicyści szwajcarscy chlubią się, że neutralność Szwajcarii leży w interesie Europy, że jest ona punktem ciężkości, który utrzymuje równowagę. Przynajmniej tak twierdzono przed drugą wojną... Choćby

---

<sup>58</sup> Zofia Stryjeńska w 1928 r. wraz z Władysławem Ostrowskim wykonała szereg barwnych polichromii kamieniczek Starego Miasta w Warszawie.

w tym było dużo przesady, ten mały kraik, którego ludność mogła by prawie zmieścić się w Paryżu, nie przestanie być dla mnie maleńkim, ślicznym zegarkiem – nowoczesnym, ale śpiewającym starą arię kurantową.

Czyż nie przypomina harmonii kółeczek i sprężynek ten zespół dwudziestu pięciu lilipucich krain, z których każda, nie większa od najmniejszego z naszych powiatów, rządzi się niezależnie w swoim domu, a jednocześnie stanowi kółeczko świetnie zgranej maszyny państwowej?

Rozmiary ich ilustruje niezrównanie ironia Voltaire'a, z jaką wyraził się ten filozof o republice genewskiej:

*Quand je secoue ma perruque, je poudre toute la Republique*<sup>59</sup>.

Wszystkie te państewka pracują wspólnie, ale pomyśleć się nie da, aby jedno stało się ważniejszym od drugiego. Niezawisłość kantonów jest rzeczą świętą, każdy prowadzi swoje sprawy na własną rękę i na swój sposób – z wyjątkiem dziedzin objętych wspólną gospodarką, jak dyplomacja, prawo, roboty publiczne, szkolnictwo, wojsko.

Jak to? – zapyta kto – może ta pokojowa, bezpieczna od napaści dzięki swej karłowatości, ta neutralna Szwajcaria ma także wojsko?

Owszem, ma i ponoś bardzo dzielne. Przez cały czas pierwszej wojny światowej czuwało na granicach, ażeby nie dopuścić do pogwałcenia neutralności. Jak było podczas drugiej wojny – nie wiem. Ale nawet Hitler nie ośmielił się wtargnąć do Szwajcarii...

Żyje tam kult Nieznanego Żołnierza, chociaż ziemi tej nie tknęła stopa wojny. Każde prawie miasto ma pomnik Nieznanego. W ogóle pomniki – to rzecz tam bardzo często spotykana. Zegary i pomniki – fontanny i drzewa.

Najmniejsza miejscina nie omieszka wystawić monumentu geniuszowi, który się w niej urodził, mieszkał, tworzył, czy umarł. Pod posągami – ściśle wypisane daty i dzieła, choćby ich była długa litania. I przy każdym pomniku leżą się zdroje, zanikające gdzieś w głębi murowanych basenów.

Bo wody to Szwajcarzy nigdy nie żałują! A drzewa, czerpiące soki z tych wód kryształowych i czystych oddechów górskiego powietrza, oplatają kraj cały wieńcem zielonym, silnym, rozrośłym, wieczyście młodym, chociaż w ich pniach sękatych lata i stulecia narastają bez rachuby. Zdają się jakieś bardziej zielone, niż gdziekolwiek, większe, silniejsze, jakby je w górę ciągnęły wyniosłe skały...

Nie widać w Szwajcarii takich nieszczęsnych, ogołoconych drzewin o zrudziałym liściu, jakie u nas wiodą często marny żywot w prochu przydrożnym. Bo też kurz, błoto, kałuże to rzecz tam niemal nieznaną. Przez górską wioskę, pośród lasów i pól prowadzi autostrada cudna, asfaltem wymoszczona, a przy nim tablica zachęca: „Rallentir et admirer!”

Jakież napis zdołałby lepiej określić poziom kultury kraju? Nie: „Baczność – ostrożnie jechać!”, ani: „Ostrzega się przed złodziejami!” – ani: „Uprasza się nie płuć, nie śmiecić, nie kraść kwiatów, nie palić ognisk, nie deptać trawy, nie łamać

<sup>59</sup> Kiedy potrząsam moją peruką, pokrywam pudrem całą Republiką Szwajcarską (franc.).

gałęzi!” – ale: „Ralentir et admirer!” Droga znakomita, przeprowadzona tak, by jak najładniejsze odsłaniała widoki, bezpieczeństwo zapewnione, czystość idealna, porządek nieporównany – a ty gościu, skoroś już za wszystko dobrze zapłacił, możesz spokojnie „zwolnić tempo i podziwiać”.

A nawet powinieś to zrobić. Inaczej skrzywdziłbyś siebie – no i obraził Szwajcarów.

KAROLINA GRODZISKA

#### MICHALINA GREKOWICZ-HAUSNER'S SWISS SCHOLARSHIP

##### Summary

The text includes a passage from a diary of a Lviv journalist, Michalina Grekowicz-Hausner (1891–1967), daughter of Józef Grekowicz, a well known commander in the January Uprising. She graduated from the Teachers College in Lviv, she did not acquire university education. She started her journalist work in 1917; she published articles in a few Lviv newspapers, she was also a speaker in the Lviv City Council, where she worked in the City Committee of Winter Help to the Unemployed. During the war she managed to avoid the fate of tens of thousands Poles and she was not exiled to Siberia or Kazakhstan. In 1946, together with her husband, she made a painful decision to expatriate from Lviv. They first moved to Szczecin, then to Cracow. She continued publishing in Szczecin's and Cracow's newspapers and at the same time worked in the Municipal Public Library in Cracow and wrote two (unpublished so far) books: a biography of Józef Grekowicz “Through the daughter's eyes” and her own diary “A Memory”. Their typewritten copies were bought in 1973 and 1976 for our Library.

The passage from the “Memories” presented here refers to a life journey made by Michalina Grekowicz-Hausner in the summer of 1927. She used the scholarship that she was granted by the Ministry of Culture and Art to pay for her trip to Switzerland. The outcome of the travel which included Basel, Geneva, Chamonix, Vevey, Montreux, Chillon, Lucerne, Bern, Zurich and Rapperswil is the text presently discussed. Apart from obvious praises of the country and its beauty, the author, of her professional interest, focuses on charity institutions, care centres, sanatoria and orphanages. The trip also resulted in numerous press reports in the Lviv and Warsaw newspapers.